

Gerald Durrell
W serii Biblioteczka Konesera ukazały się:
Jeffrey Archer
Kane i Abel
Córka marnotrawna
Pierwszy między równymi
Czy powiemy pani prezydent?
Sprawa honoru
Prosto jak strzeli!
Co do grosza
Złodziejski honor Anders Bodelsen
Otwarte drzwi Kiran Desai
Zadyma w dzikim sadzie Gerald Durrell
Przeciążona arka
Menażeria
Ogród bogów
Moje ptaki, zwierzaki i krewni Romain Gary
Blask kobiecości
Obietnica poranka Robert Goddard
Ucieczka Spod Obłoków
Bez śladu
Co kryje mrok Carolyn G. Hart
Morderstwo według Agathy Christie
Śmierć na żądanie Frances Mayes
Pod słońcem Toskanii Peter Mayle
Hotel Pastls
Zawsze Prowansja
Pogoń za Cezanne'em
Rok w Prowansji Paul Micou
Życzenie Adama
Śmierć Dawida Debrizziego A. A. Milne
Dwoje ludzi Rick Moody
Burza lodowa Barbara Neil
Dziedzictwo Delii Sutherland William Trevor
Po deszczu Robert James Waller
Muzyka pogranicza
Gerald Durrell
Nowy Noe
Przełożyła
Ewa Horodyska
T~Vos2yiAsl<i i S—ka
Warszawa 1999
Tytuł oryginału: THE NEW NOAH
Copyright © Gerald Durrell 1955
Projekt graficzny serii: Jerzy Matuszewski
Fotografie na okładce: Stock Image/East News
Redaktor prowadzący serię: Ewa Rojewska—Olejarczuk

Redakcja:
Wiesława Karaczewska
Redakcja techniczna: Jolanta Trzcńska

Korekta: Jadwiga Przeczek
Łamanie: Ewa Wójcik

ISBN 83—7255—351—3
Biblioteczka Konesera
Wydawca:
Prószyński i S—ka SA
02—651 Warszawa, ul. Garażowa 7
Druk i oprawa:
Opolskie Zakłady Graficzne SA
45—085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8—12

*Książkę tę dedykuję mojej bratanicy Sappho
Jane, bratankowi Geraldowi Martinowi oraz Davidowi Nicholasowi*

Wprowadzenie

Większość ludzi prędzej czy później odwiedza ogród zoologiczny. Kiedy już się tam znajdują, są do tego stopnia zaciekawieni zwierzętami, które oglądają, że nie zastanawiają się, w jaki sposób wiele z nich trafiło do zoo.

Jestem łowcą zwierząt i moje zajęcia polega na odbywaniu podróży do odległych miejsc, skąd przywożę żywe okazy dla ogrodów zoologicznych. W tej książce opisuję trzy wyprawy do różnych części świata i staram się pokazać, jak wygląda moja niełatwa, acz interesująca praca.

Większość ludzi nie ma pojęcia, ile wysiłku i kłopotów wiąże się z chwytaniem fascynujących stworzeń, za których oglądanie ludzie płacą w zoo. Bardzo często słyszę pytanie, jak i dlaczego zostałem łowcą zwierząt. Odpowiadam, że zawsze interesowały mnie zwierzęta i ogrody zoologiczne.

Według moich rodziców, pierwszym słowem, które wymówiłem wyraźnie, nie było konwencjonalne „mama” czy „tata”, lecz słowo „zoo”, powtarzane piskliwym głosem tak długo, aż wreszcie ktoś, żeby zamknąć mi buzię, zabierał mnie do zoo. Gdy nieco podrosłem, zamieszkaliśmy w Grecji, gdzie trzymałem mnóstwo zwierząt — począwszy od sów, a skończywszy na konikach morskich — i cały wolny czas spędzałem, włócząc się po okolicy w poszukiwaniu nowych okazów do mojej kolekcji. Później przez rok pracowałem jako stażysta w ogrodzie zoologicznym w Whipsnade, zdobywając doświadczenie z większymi zwierzętami, takimi jak lwy, niedźwiedzie, bizona i strusie, które niełatwo byłoby hodować w domu.

Opuszczając Whipsnade, dysponowałem na szczęście wystarczającą sumą pieniędzy, aby sfinansować moją pierwszą wyprawę — i od tamtej pory odbywam regularne podróże.

Choć praca łowcy zwierząt jest trudna i obfituje w porażki, spodobałaby się z pewnością każdemu, kto kocha zwierzęta i podróżowanie. Staram się dowieść w tej książce, że ciężką pracę i niepowodzenia prawie zawsze wynagradzają zawiązką porywające sukcesy oraz emocje i radość, jakich dostarcza nie tylko chwytanie zwierząt, ale również obserwowanie ich w naturalnych siedliskach.

Część pierwsza

Korowody w Kamerunie

Rozdział pierwszy, w którym bawię się w przeciąganie liny z waranem nilowym

Przed wyruszeniem na wyprawę łowca musi się dowiedzieć, jakich zwierząt potrzebują ogrody zoologiczne, a następnie, znając już obszary występowania owych zwierząt, wybrać takie miejsce, w którym oprócz poszukiwanych gatunków żyją także inne rzadkie stworzenia. Zoologowie i biolodzy nie mają przeważnie czasu i pieniędzy, aby podróżować do odległych zakątków świata i badać życie dzikich zwierząt na miejscu. Dlatego zwierzęta muszą zostać schwytane i przewiezione do zoo, gdzie łatwiej jest je obserwować. Liczni przedstawiciele większych i pospolitszych gatunków z całego świata znajdują się w każdym niemal ogrodzie zoologicznym i dość dużo na ich temat wiadomo. Pragnąłem więc chwycić zwierzęta mniejsze i rzadziej występujące, o których wiemy niewiele. Właśnie o nich zamierzam napisać.

Pod wieloma względami drobne stworzenia wywierają silniejszy wpływ na życie ludzi w różnych krajach niż duże. Na przykład sznur wędrowny wyrządza co roku poważniejsze szkody niż jakiegokolwiek inne zwierzę. Dlatego podczas moich ekspedycji koncentrowałem się na zwierzętach niedużych. Jako cel pierwszej wyprawy wybrałem Kamerun, gdyż jest to niewielki, prawie zapomniany zakątek Afryki, który wygląda całkiem podobnie jak przed przybyciem białego człowieka. Tu, w rozległych lasach tropikalnych, zwierzęta żyją tak jak przed tysiącami lat. Poznawanie i badanie mieszkańców dżungli nienarażonych jeszcze na oddziaływanie cywilizacji ma ogromne znaczenie, ponieważ — podobnie jak ludzie — dzikie stworzenia odczuwają każdą zmianę. Wycinanie lasów, budowanie miast, stawianie tam rzecznych i wytyczanie dróg przez dżunglę zakłóca czynności życiowe zwierząt, które muszą przystosować się do nowych warunków, inaczej grozi im wyginięcie.

Moim zamiarem było dowiedzieć się jak najwięcej o mieszkańcach wielkiej dżungli i zabrać z sobą możliwie bogatą i zróżnicowaną kolekcję drobnej fauny — stworzeń, które Afrykanie określają w *pidgin English* jako „małe mięso”.

Dawny Kamerun Brytyjski zajmuje wąski skrawek lądu, przypominający kształtem pudełko po butach, i jest wbity niczym klin między Nigerią a dawny Kamerun Francuski. Należy do obszaru lasów tropikalnych, a zatem rośnie tam taka sama gęsta i wilgotna dżungla jak w Kongo.

Kiedy przyjechałem do Kamerunu po raz pierwszy, największe wrażenie wywarły na mnie niezwykle żywe barwy podszytu i olbrzymie rozmiary drzew. Liście mieniły się wszelkimi możliwymi odcieniami zieleni i czerwieni: od butelkowej zieleni do bladego seledynu i od różu do purpury. Drzewa wznosiły się na wysokość dwustu lub nawet trzystu stóp, ich pnie osiągały obwód komina fabrycznego, a potężne gałęzie uginały się pod ciężarem listowia, kwiatów i poskręcanych pnączy.

Wysiadłem na ląd w niewielkim porcie o nazwie Victoria i spędziłem tam około tygodnia, szykując się do wyprawy w głąb kraju. Musiałem załatwić mnóstwo spraw, zanim zajmę się chwytaniem zwierząt. Trzeba było zatrudnić afrykańskich kucharzy i pomocników, zgromadzić rozmaite zapasy i poczynić rozliczne przygotowania. Musiałem także uzyskać zezwolenie na odłów zwierząt, których poszukiwałem, gdyż wszelka fauna w Kamerunie jest pod ścisłą ochroną i bez urzędowego zezwolenia nie wolno chwycić ani zabić żadnych stworzeń. Kiedy wreszcie uporałem się z tym wszystkim, załadowałem żywność i sprzęt do wynajętej ciężarówki, i ruszyłem w drogę. W głąb kraju prowadziła wówczas tylko jedna droga, którą można było dojechać do wioski Mamfe nad rzeką Cross, oddalonej od morskiego wybrzeża o jakieś trzysta mil. W tej właśnie wiosce zamierzałem założyć bazę wypadową.

Ziemia w Kamerunie jest czerwona, podobnie jak w naszym hrabstwie Devon, i ceglasta wstęga drogi wiała się wśród wzgórz, między ogromnymi drzewami. Podczas jazdy widziałem chmary

jaskrawo upierzonych ptaków, żerujących w koronach drzew. Maleńkie, połyskliwe nektarniki spijały nektar z kwiatów; wielkie, lśniące turako, podobne do olbrzymich srok, pożywiały się dzikimi figami; a od czasu do czasu ciężarówka ploszyła stadko dzioborożców, które przelatowały nad drogą, z głośnym świstem tnąc powietrze skrzydłami i wydając przeraźliwe okrzyki.

Wśród niskich zarośli na poboczu harcowały liczne gromady agam. Jaszczurki te są niemal równie jaskrawo ubarwione jak ptaki, gdyż samiec ma pomarańczową głowę i

niebiesko—srebrno—czerwono—czarny tułów, samica zaś jest różowa w jabł—kowozielone plamki. Agamy mają osobliwy zwyczaj energicznego kiwania głowami i wygląda to bardzo dziwacznie, kiedy śmigając w zaroślach, przystają nagle, aby kilkakrotnie skinąć barwnym łebkiem napotkanemu sąsiadowi. Niemal równie liczne były stadka zimorodków malutkich, ptaszków mniejszych od wróbli, o jaskrawoniebieskich grzbietach i pomarańczowej piersi, z koralowymi dziobami i nóżkami. W przeciwieństwie do angielskich zimorodków te małe ptaszki żywią się szarańczą, konikami polnymi i innymi owadami. Dziesiątki zimorodków przysiadły na drutach telegraficznych i na pniach powalonych drzew przy drodze, wpatrując się z nadzieją w trawę i zarośla. Od czasu do czasu któryś spadał jak kamień ze swej grzędy i po chwili wzbijał się w górę, ściskając w dziobie pasikonika o rozmiarach niemal dorównujących jego własnym.

Po trzech dniach podróży dotarłem do Mamfe. Wybrałem tę wioskę z co najmniej kilku powodów. Łowca dzikich zwierząt musi się dobrze zastanowić, gdzie założyć bazę wypadową: powinna leżeć w pobliżu jakiegoś sklepu, w którym można się zaopatrzyć w konserwowaną żywność, gwoździe, druciane siatki i inne ważne artykuły, a także w pobliżu drogi, aby w dniu wyjazdu dało się bez kłopotu załadować klatki na ciężarówkę. Ponadto należy się upewnić, że nie jest to gęsto zaludniona, rolnicza okolica, z której wypłoszono większość zwierzyny. Wioska Mamfe nadawała się doskonale, więc rozbiłem obóz o milę dalej nad rzeką, stawiając na polanie duży namiot. Miał on przez następne pół roku pełnić funkcję domu dla mnie i moich zwierząt.

Nie mogłem rozpocząć odłowu, dopóki się nie upewniłem, że baza funkcjonuje sprawnie. Należało zbudować klatki, wydzielić zagrody i sadzawki, a także zbudować kryte palmowymi liśćmi chaty dla moich afrykańskich pomocników. Musiałem zadbać o dostawy pożywienia i wody, jako że kolekcja złożona z dwustu czy trzystu zwierząt pochłania codziennie olbrzymie ilości jednego i drugiego. Kolejne ważne zadanie polegało na przeprowadzeniu szeregu rozmów z miejscowymi naczelnikami, pokazaniu im rysunków i fotografii zwierząt, które pragnąłem schwytać, i poinformowaniu, ile gotów jestem zapłacić za każdy okaz. Po powrocie do wioski wodzowie przekazywali wiadomość swoim pobratymcom i dzięki temu cała okoliczna ludność pomagała mi później w pracy.

Gdy wszystko było już gotowe i dziesiątki pustych klatek czekały na lokatorów, mogłem rozpocząć poszukiwania niezwykłych stworzeń, dla których wybrałem się w tę daleką podróż. Przy odłowieniu zwierząt nie obowiązują żadne z góry ustalone reguły. Wszystko zależy od tego, w jakim kraju znajduje się łowca i jakie zwierzęta chce schwytać. W Kamerunie zastosowałem kilka różnych metod, a jedna z najskuteczniejszych polegała na wykorzystaniu do łowów w dżungli miejscowych psów myśliwskich. Psy te noszą na szyjach niewielkie drewniane kołatki i gdy znikają w gęstym poszyciu, ścigając zwierzynę, klekot kołatek naprowadza myśliwych na trop. Do najbardziej ekscytujących polowań tego rodzaju należało to, które odbyło się na zboczach góry o nazwie N'da Ali, oddalonej o dwadzieścia pięć mil od bazy wypadowej. Dowiedziałem się od tubylców, że w szczytowych partiach tej góry żyje rzadkie zwierzę, na którym mi szczególnie zależało: duża man—gusta czarnonoga, o kremowobiałej sierści i czekoladowych łapach. Wiedziałem, że w Anglii nigdy nie widziano żywego okazu tego gatunku i za wszelką cenę chciałem zdobyć choć jedną taką mangustę.

Wyruszyłem na łowy wczesnym rankiem, wraz z czterema myśliwymi i sforą liczącą pięć psów o dość nędznym wyglądzie. Jeden z minusów takiego sposobu polowania polega na tym, że nie da się wytłumaczyć psom, o jakie konkretnie zwierzę chodzi, w związku z czym rzucają się w pościg za każdym żywym stworzeniem, które zwietrzą. Skutek jest taki, że wyruszywszy na poszukiwanie mangusty, łapiesz w końcu coś zupełnie innego. Tak się właśnie stało tym razem. Po mniej więcej półgodzinnym marszu przez dżungłę psy zwietrzyły świeży trop i pomknęły naprzód, szczekając w podnieceniu, a ich kołatki klekotały wśród drzew. Runęliśmy w te pędy za psami i przez pół godziny biegliśmy co sił, nasłuchując dalekich odgłosów sfory i czując coraz większe zmęczenie. Wtem pierwszy myśliwy zatrzymał się i uniósł rękę. Stanęliśmy, dysząc ciężko i wyteżając słuch, lecz nigdzie nie było słyhać kołatek.

Rozdzieliliśmy się i ruszyliśmy tyralierą, próbując ustalić, w którą stronę pobiegły psy. Wreszcie jeden z myśliwych przywołał nas przenikliwym jodłowaniem i gdy znaleźliśmy się przy nim, usłyszeliśmy daleki szum płynącej wody. Popędziliśmy w tamtym kierunku, a zadyszany myśliwy wyjaśnił mi po drodze, że jeśli psy dotarły do kamienistego brzegu rzeki, huk wody mógł zagłuszyć kołatki. W ten sposób zgubiliśmy sforę. Skierowaliśmy się z pluskiem w górę rzeki i w końcu stanęliśmy przy wodospadzie o wysokości mniej więcej dwudziestu stóp, gdzie pieniała się spadająca kaskadami woda. U stóp wodospadu leżały wielkie, spiętrzone głazy, porośnięte mchem i drobną roślinnością, a między nimi dostrzeżliśmy ogony i zady naszych psów, których rozgłośnie szczekanie przebijało się przez szum wody. Zerkając spoza skał, przekonaliśmy się po raz pierwszy, na co właściwie polujemy. Był to ogromny waran nilowy, wielka jaszczurka mierząca sześć stóp, z długim, podobnym do bicia ogonem i mocnymi, zakrzywionymi pazurami. Wycofał się między głazami aż pod skalną ścianę i teraz obserwował otwór, odstraszał psy smagnięciami potężnego ogona i głośnym sykiem, ilekroć ośmieliły się podejść bliżej.

Zanim zdążyliśmy odwołać psy, pewna głupsza od pozostałych suczka skoczyła naprzód i złapała warana za kark, wgrzyzając się weń z całej siły. Jaszczur odwzajemnił się, chwytając ją zębami za ucho, po czym, wygięty w łuk, sięgnął tylnymi łapami do grzbietu sukki i rozorał go ostrymi pazurami. Zaskowycza—ła z bólu i puściła kark warana, lecz zanim zdążyła uciec, gad odrzucił ją między skały uderzeniem ogona. Pośpiesznie przywołaliśmy resztę sfory i uwiązaliśmy przy najbliższym drzewie, a później zaczęliśmy szukać najlepszego sposobu schwytania jaszczura, który leżał między głazami i syczał niby jakiś ogromny prehistoryczny potwór.

Próbowaliśmy omotać go siecią, ale zaczepiała się ciągle o ostre krawędzie skał i w końcu uznaliśmy, że to na nic. Przyszło mi na myśl tylko jedno wyjście: wspiąć się wyżej i zarzucić mu pętlę na szyję. Wyjaśniłem myśliwym, co mają robić, i wdrapałem się po śliskich kamieniach na półkę o jakieś sześć stóp nad waranem. Zawiązałem pętlę na końcu długiej liny, pochyliłem się i ostrożnie opuściłem ją nad głowę gada. Nie wydawało się, aby kojarzył linę z obecnością ludzkich istot, więc bez trudu nasunąłem mu pętlę na łeb i pociągnąłem delikatnie, żeby otoczyła jego szyję. Następnie zacisnąłem mocno pętlę.

Niestety, w podnieceniu zapomniałem przywiązać do czegokolwiek drugi koniec liny, a co więcej, klęczałem na niej. Waran, gdy tylko poczuł sznur na szyi, wystrzelił naprzód jak rakieta, napinając linę i zbijając mnie z klęczek, tak że zacząłem zsuwać się po skale. Nie miałem się czego przytrzymać na tej gładkiej, zroszonej wodną mgiełką powierzchni, ześliznąłem się więc i runąłem prosto do wąwozu poniżej. Pamiętam, że spadając, żywiłem nadzieję, iż moje nagłe pojawienie się znikąd wystraszy warana i nie będzie miał ochoty ze mną walczyć. Nie zamierzałem zbliżyć się bardziej niż to konieczne do jego uzbrojonych w pazury łap. Na szczęście moje nadzieje się spełniły. Przerazony waran wyprysnął pomiędzy głazów i pomknął w dół rzeki, wlokąc za sobą linę. Nie uciekł jednak daleko, gdyż zaledwie minął skały, tubylcy zarzucili na niego sieć i już po chwili skręcał się i syczał w jej zwojach. Wyplątałiśmy go w końcu z sieci, przywiązaliśmy do

długiej żerdzi, a ja odesłałem jednego z myśliwych razem z nim do obozu. Schwytanie tego wielkiego gada niezmiernie mnie uradowało, lecz to nie po niego wspinaliśmy się na górę, pomaszerowaliśmy zatem dalej przez dżunglę.

Wkrótce psy zwietrzyły nowy trop. Pościg, do którego nas zmusiły tym razem, był znacznie dłuższy i ciekawszy niż po— przedni. Przede wszystkim zwierzę uciekało w dół zbocza i pędziliśmy za nim desperacko, przeskakując kamienie, co było dość niebezpieczne, gdyż upadek mógł oznaczać złamaną nogę lub coś jeszcze gorszego. Później nasza zwierzyna zawróciła i pomknęła w górę, my zaś musieliśmy pójść w jej ślady, choć serca waliły nam jak młotem, a pot lał się z nas strumieniami. Pogoń trwała czterdzieści pięć minut — aż wreszcie, biegnąc za dźwiękiem kołatek, dotarliśmy na równinę, gdzie zastaliśmy sforę otaczającą wielki, spróchniały i pusty w środku pień powalonego drzewa. U wylotu pnia siedziało duże zwierzę o jasnej sierści, mordce dziwnie przypominającej niedźwiedzia i małych uszach. Patrzyło z wielką pogardą na ujadające i warczące psy. Zauważyłem, że jeden z nich ma pogryziony nos, \ i zrozumiałem, dlaczego przezornie trzymają się na odległość od tego dziwnego zwierzęcia. Kiedy czarnonoga mangusta nas dostrzegła, obróciła się i zniknęła we wnętrzu pnia.

Odwołaliśmy psy, zasłoniliśmy wylot siecią i poszliśmy sprawdzić, czy na drugim krańcu pnia nie ma przypadkiem wyjścia awaryjnego. Nie było — a zatem mangusta mogła się wydostać jedynie przez otwór zabezpieczony naszą siatką. Teraz należało wykurzyć zwierzę z kryjówki. Drzewo było na szczęście spróchniałe i miękkie, więc udało nam się wyciąć nożami dziurę na drugim końcu. Następnie rozpaliliśmy w niej niewielki ogień, a gdy już ładnie płonął, dorzuciliśmy świeżych liści i gęsty, gryzący dym wypełnił wnętrze pnia. Zirytowana mangusta kaszłała przez chwilę, lecz w końcu nie wytrzymała, wyleciała jak z procy prosto w sieć i zaczęła się w niej miotać, warcząc i kłapiąc zębami. Natrudziliśmy się nieco wyplątując zwierzę z sieci i prawie każdy został przy tym pogryziony, ale wreszcie udało się wsadzić mangustę do mocnego worka. Zanieśliśmy ją tryumfalnie do obozu. Przez kilka pierwszych dni atakowała zajadłe pręty kłatki, ilekroć pojawiałem się w pobliżu. Po pewnym czasie oswoiła się jednak i parę tygodni później brała jedzenie z mojej ręki, a nawet pozwalała drapać się za uszami.

W górach Kamerunu gęsty busz ustępuje miejsca pofałdowanym, trawiastym obszarom wyżynnym, gdzie musiałem korzystać z innych metod odłowu. Najlepsza z nich polegała na zapędzaniu zwierząt w sieci. Na takim właśnie trawiastym obszarze chciałem schwytać wielką huczącą wiewiórkę — największą z wiewiórek występujących w Kamerunie, stworzenie niemal dwukrotnie przekraczające rozmiarem angielską szarą wiewiórkę. Zwierzęta te można znaleźć także na nizinach, ale przeważnie siedzą na czubkach najwyższych drzew, żywiąc się owocami i orzechami, i bardzo rzadko schodzą na ziemię. Dlatego schwytanie okazji tego gatunku graniczyło z niemożliwością. Na obszarach trawiastych natomiast zamieszkiwały wąskie pasy drzew nad strumieniami i wczesnym rankiem, a także pod wieczór, schodziły i zapuszczały się w trawę, szukając pożywienia. Moi myśliwi twierdzili, że znają miejsce, w którym wiewiórki te występują bardzo licznie, postanowiłem zatem podjąć próbę schwytania ich wcześniej rano, kiedy zejda w trawy na żer.

Wyruszyliśmy na łowy o pierwszej w nocy i tuż przed świtem dotarliśmy do celu. Wybraliśmy odpowiednie miejsce na skraju lasu i rozstawiliśmy sieci półkolem, maskując je trawą i krzakami. Musieliśmy robić to po ciemku i jak najciszej, żeby nie spłoszyć wiewiórek. Później ukryliśmy się w bujnych zaroślach na skraju lasu i tam, przesiąknięci rosą, czekaliśmy świtu. Klimat górski jest znacznie chłodniejszy niż nizinny, więc gdy wreszcie wzeszło słońce, byliśmy skostniaли i szcękaliśmy zębami z zimna.

Otoczeni wielkimi białymi kłębami mgły, usłyszeliśmy wreszcie głośnie i gniewne „czak—czak”, dobiegające z gałęzi drzew. Myśliwi wyjaśnili szeptem, że wiewiórki szykują się do zejścia na

śniadanie. Zerkając zza listowia w stronę naszych sieci ukrytych w trawie, dostrzegłem wkrótce dziwny, podskakujący obiekt. Przypominał podłużny czarno—biały balon i nie miałem zielonego pojęcia, co to może być. Pokazałem ów obiekt moim myśliwym, którzy stwierdzili, że jest to ogon wiewiórki, widoczny ponad źdźbłami traw, podczas gdy tułów kryje się niżej. Niebawem do samotnego „balonu” dołączyło kilka innych, a gdy mgła się podniosła, dostrzeżliśmy wiewiórki skaczące ostrożnie z kępy na kępę i przysiadające na swych wielkich ogonach w białe i czarne pasy. Kiedy doszliśmy do wniosku, że wystarczająco oddaliły się od drzew, rozprostowaliśmy skurczone kończyny i utworzyliśmy tyralierę. Na mój znak wkroczyliśmy ostrożnie w trawy. Powitał nas chór donośnych i pełnych lęku okrzyków wiewiórek zgromadzonych na drzewach za naszymi plecami. Te w trawie po prostu siedziały i przyglądały nam się podejrzliwie. Niestety, nasz plan — polegający na tym, by iść naprzód i powoli zaganiać wiewiórki w stronę sieci, a następnie ruszyć z impetem i przyprawić je o panikę, tak aby wpadły w pułapkę, zanim w ogóle nas zobaczą — nie do końca się powiódł.

Jedna z wiewiórek, sprytniejsza niż pozostałe, uprzytomniła sobie nieoczekiwanie, że odpędzamy ją od schronienia, które zapewniały wysokie drzewa. Pognała w lewo, omijając tyralierę myśliwych, i śmignęła w las. Pozostałe wiewiórki siedziały i patrzyły, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, czy pójść w jej ślady, czy nie. Sieci nie otaczały ich z wszystkich stron, podejrzewałem jednak, że jeśli teraz ich nie zaatakujemy, prysną na boki i ominą nas jak ta pierwsza. Ruszyliśmy więc naprzód pokrzykując gromko, wymachując rękami i starając się wyglądać jak najstraszniej. Wiewiórki spojrzały na nas, odwróciły się i uciekły.

Dwie z nich czmychnęły w lewo i w prawo, trzy zaś wpadły prosto w pułapkę i już po chwili toczyły beznadziejną walkę z fałdami sieci. Wyplątanie wiewiórek okazało się zadaniem niezmiernie trudnym, gdyż wydawały donośne, groźne pomruki i próbowały wbijać pomarańczowe zęby w nasze dłonie. Były to całkiem niebrzydkie stworzenia: wierzch ciała miały rdzawoczerwony, brzuch cytrynowożółty, a ogon mierzący około osiemnastu cali zdobiły czarne i białe pasy. Ponieważ wiewiórki, które siedziały na drzewach, wiedziały już, że próbujemy je schwytać, dalsze łowy miały się z celem — i musieliśmy zadowolić się trzema schwytanymi okazami. Zanieśliśmy je do obozu w mocnych płóciennych workach i umieściliśmy w miłej, przestronnej klatce, zaopatrzonej w spory zapas owoców i warzyw, po czym zostawiliśmy je w spokoju, żeby się zaaklimatyzowały. Wiewiórki zbadały dokładnie klatkę, zjadły wszystko, co im dałem, a potem zwinięte w kłębek ułożyły się do snu.

Nazajutrz wczesnym rankiem odkryłem, skąd się wzięła ich nazwa. O świcie obudziły mnie bardzo dziwne odgłosy i gdy wygramoliłem się z łóżka, zobaczyłem wiewiórki, które siedziały z przodu klatki, wydając osobliwe okrzyki. Zaczynało się od cichego brzęczenia, podobnego do tego, jakie wydają poruszane wiatrem druty telegraficzne. Później dźwięk narastał stopniowo i stawał się coraz bardziej metaliczny, aż wreszcie brzmiał zupełnie jak zamierzająca wibracja potężnego gongu. Wiewiórki wydawały owe niesamowite odgłosy codziennie o świcie i przez pierwszy tydzień, zanim się do tego przyzwyczaiłem, budziły mnie o nieprawdopodobnej godzinie.

Zacząłem nawet myśleć, że schwywanie tych zwierząt jest dość wątpliwym przywilejem.

Rozdział drugi, w którym mam do czynienia z małymi krokodylami, jeźdźcą afrykańską oraz różnymi węzami

Kiedy w wyniku codziennych łowów udało mi się zgromadzić sporą liczbę zwierząt, przekonałem się, że mam coraz mniej czasu na wyprawy do dżungli, ponieważ moi podopieczni wymagali bardzo wiele uwagi. W związku z tym pozostało mi tylko jedno wyjście: polować nocą. Takie poszukiwania należały do najbardziej pasjonujących. Uzbrojeni w mocne latarki oraz stały zapas worków, butelek, pudełek i sieci wyruszaliśmy —myśliwi i ja — tuż po zmierzchu, krocząc cicho między potężnymi drzewami i oświetlając latarkami gałęzie. Jeżeli siedziały na nich jakieś

zwierzęta, widać było ich oczy lśniące w świetle latarek niczym osobliwe klejnoty, rozmieszczone wśród liści. Jest to naprawdę doskonała metoda, ponieważ dzięki niej można natrafić na rozmaite stworzenia, których nigdy nie zobaczy się za dnia; stworzenia wiodące nocny tryb życia i przespiające dzień w swoich kryjówkach, aby nocą wyjść na żer. Gdy zatem wypatrzysz zwierzynę, czeka cię następnie podjęcie próby jej schwytania, co zazwyczaj nie jest łatwe. o dziwo, do zwierząt, które najłatwiej w ten sposób złapać, należą małe krokodyle. Gady te zamieszkują niewielkie, płytkie strumienie, krzyżujące się w dżungli, i nocami wypełzają na miniaturowe piaszczyste ławy, gdzie potem leżą, czekając z nadzieją na pojawienie się u wodopoju jakiegoś drobnego stworzenia, które mogłyby pochwycić. Najczęściej szliśmy z biegiem strumieni, brodząc niekiedy po pas w wodzie i oświetlając sobie drogę latarkami. Nieoczekiwanie dostrzegłem na piasku coś, co w blasku latarki wyglądało jak dwa rozżarzone węgielki. Wówczas zbliżałem się ostrożnie i po chwili ukazywał się moim oczom mały krokodyl, obserwujący mnie z podejrzliwie uniesionym łbem. Kierowałem promień latarki prosto na niego, tak by — oślepiony światłem — nie mógł mnie zobaczyć. Następnie podkradałem się na tyle blisko, aby nachylić się nad nim i przygwoździć go do ziemi z pomocą rozwidlonego kija. Większość tych gadów mierzyła zaledwie od osiemnastu cali do dwóch stóp długości, czasami jednak znajdowałem większe okazy, dochodzące do czterech lub więcej stóp. Gdy próbowałem je unieruchomić, podejmowały zacieklą walkę, wymachując ogonami i rwąc się z powrotem do wody, a przy tym wydawały przeciągłe, grzmiące odgłosy, podobne do ryku lwa. Podnosząc krokodyla, musiałem zwracać baczną uwagę nie tylko na jego pysk, ale także na ogon — ponieważ duży okaz potrafi uderzyć ogonem z tak wielką siłą, że bez trudu łamie człowiekowi rękę. Inna ich sztuczka polegała na tym, że najpierw leżały nieruchomo i pozwalały, abym je podniósł za szyję, potem zaś bez ostrzeżenia skręcały się gwałtownie i smagały mnie wściekle ogonem. Z zaskoczenia rozluźniałem chwyt i upuszczałem krokodyla do wody. Dlatego z zasady podnosiliśmy krokodyla dopiero wówczas, gdy jego szyja i ogon znalazły się w mocnym uścisku.

Jedno z najtrudniejszych i najboleśniejszych nocnych polowań miało miejsce podczas mojego pobytu w niewielkiej wiosce o nazwie Eszoli. Spędziliśmy w dżungli prawie całą noc i szczęście nie bardzo nam dopisywało. W pewnej chwili któryś z myśliwych zaproponował, abyśmy udali się do znanego mu miejsca, gdzie w ścianie skalnej znajdowało się mnóstwo jaskiń. Uznaliśmy, że mogą się w nich kryć jakieś zwierzęta. Wyruszyliśmy zatem i w końcu dotarliśmy do szerokiej rzeki, którą należało przebyć. Kiedy, brnąc po pas w zimnej wodzie, doszliśmy do środka rzeki, idący za mną myśliwy zapalił latarkę i wówczas zobaczyliśmy, że otaczają nas dziesiątki wodnych węży, które kłębiły się wokół, wystawiając łebki niczym peryskopy i obserwując nas bystrymi oczyma. Węże te nie są jadowite, choć mogą ukąsić, gdy się je rozdrażni. Afrykanie trwają jednak w przekonaniu, że wszystkie węże są jadowite, i w związku z tym odnoszą się do nich z największą ostrożnością. Myśliwy, ujrawszy, że uwiązł pośrodku rzeki otoczony — jak się wydawało — ło — przez całą populację kameruńskich węży wodnych, runął w stronę brzegu, wrzeszcząc ze strachu. Niełatwo jest biec w wodzie sięgającej do pasa; wartki nurt zwałił więc z nóg myśliwego, który z pluskiem upadł na plecy, topiąc w wodzie cały ekwipunek niesiony na głowie. Węże, spłoszone nagłym hałasem, natychmiast dały nura do swych kryjówek. Kiedy myśliwy, sapiąc i plując, wynurzył się z toni, odpowiedział na pytania kolegów, że w rzece roi się od węży. Wszyscy zapalili latarki i oświetlili powierzchnię wody, lecz nigdzie nie było widać ani jednego węża. Po krótkiej sprzeczce zdołałem ich nakłonić, aby stanęli nieruchomo i zgasili latarki. Czekaliśmy tak około pół godziny, po czym znowu oświetliliśmy rzekę. Wodne węże powróciły, kreśląc wokół nas srebrzyste zygzaki. Za pomocą siatek na motyle udało nam się złapać kilka wijących się gadów, które wrzuciliśmy do worków. Następnie ruszyliśmy w dalszą drogę.

Skały, do których w końcu dotarliśmy, przypominały plaster miodu — pełno w nich było jaskiń o najrozmaitszych kształtach i rozmiarach, a wejścia kryły się wśród olbrzymich głazów i leśnego poszycia. Każdy z nas penetrował wyznaczony odcinek, szukając zdobyczy. Gdy tak brnąłem wśród skał, przyświecając sobie latarką i rozglądając się z nadzieją po skalnych korytarzach, dostrzegłem nagle jakiś dziwny kształt, który wyskoczył z zarośli, czmychnął w stronę skał i skrył się w otworze niewielkiej jaskini. Ruszyłem czym prędzej w tamtym kierunku, przykląknłem i poświeciłem latarką w głąb otworu, niczego jednak nie dostrzegłem. Wejście dorównywało szerokością przeciętnym drzwiom, lecz jego wysokość nie przekraczała dwóch stóp i musiałem czołgać się na brzuchu, trzymając latarkę w zębach. Było to nadzwyczaj niewygodne, zwłaszcza że podłoże korytarza pokrywały ostre odłamki rozmaitych skał, dlatego poruszałem się powoli i z trudem.

Tunel kończył się niewielką, okrągłą grota, z której kolejne przejście prowadziło dalej w głąb skał. Popęzłem nim, przyświecając sobie latarką, i po chwili zobaczyłem drugą grota, znacznie mniejszą. Omiatając jej ściany promieniem światła, usłyszałem tupanie i ostry szelest, przypominający nieco grzechotanie. Zanim zdążyłem dostrzec źródło tych dźwięków, coś zagrzechotało jeszcze donośniej, wypadło z mrocznej groty, wytrąciło mi z ręki latarkę i wbiło w nadgarstek co najmniej pięćdziesiąt igieł. Złapałem latarkę i wycofałem się w pośpiechu. Moja ręka była podrapana i pokłuta, jak gdybym wetknął ją w krzaki jeżyn.

Wróciłem do tunelu, omiatając go światłem latarki, i w końcu dostrzegłem zwierzę, które mnie zaatakowało. Był to dorosły okaz jeżatki afrykańskiej. Osobliwe te stworzenia mają tylną część ciała pokrytą długimi, ostrymi kolcami, a ich łysy ogon zakończony jest szczeciniastą kitą i przypomina kłos zboża. Potrząsając ogonem, jeżatki wydają osobliwy, grzechoczący odgłos, który słyszałem w jaskini. Zwierzę odwróciło się do mnie grzbietem i nastroszyło kolce, łypiąc z oburzeniem wytrzeszczonymi oczyma i przytupując ostrzegawczo. Doszedłem do wniosku, że ogon jest jedyną częścią jego ciała, za którą mogę złapać, nie obawiając się kolców. Owinąłem rękę workiem z grubego płótna i pochwyciłem ogon zwierzęcia tuż obok kolczastej kity. Jeżatka natychmiast odskoczyła w tył, przygważdżając moją rękę do kamiennej ściany, kolce zaś przeszły worek jak noże wchodzące w masło. Nie ustępowałem jednak i podjąłem próbę zapędzenia jej do drugiego worka, który trzymałem w pogotowiu. Wąski korytarz ograniczał moje ruchy i nie mogłem zarzucić worka je—żatce na łeb, ona zaś za każdym ruchem wbijała we mnie coraz to nowe kolce. W końcu wtuliła się w moją pierś, a ponieważ miałem na sobie tylko cienką koszulę, było to raczej bolesne.

Uznałem, że najlepiej będzie wywabić jeżatkę z kryjówki i dopiero wówczas nakryć ją workiem. Chwyciłem zwierzę mocno za ogon i zacząłem wycofywać się, powoli i ostrożnie, ciągnąc za sobą opierające się stworzenie. Wydawało mi się, że minęły długie godziny, zanim wydostałem się na zewnątrz, a jeżatka najwyraźniej utraciła wolę walki, gdyż zwiła bezwładnie w moim uścisku. Zawołałem myśliwych i wspólnymi siłami wsadziliśmy zwierzę do worka. Byłem podrapany i posiniaczony od stóp do głów i musiałem przyznać, że schwytywanie tej jeżatki drogo mnie kosztowało.

Podczas chwytania okazów używaliśmy, rzecz jasna, wielu różnych metod. Zastawialiśmy pułapki w dżungli, co wymagało dużej ostrożności, gdyż większość leśnych zwierząt zamieszkuje ściśle określone terytoria i rzadko zapuszcza się poza ich granice. Zwierzęta chodzą własnymi ścieżkami, ziemnymi i nadrzewnymi, i jeśli założysz sidła w niewłaściwym miejscu, najprawdopodobniej nie się do nich nie zbliży. Ludzie przeważnie myślą, że w rozległej dżungli aż się roi od zwierząt; są jednak w błędzie. Każde stworzenie trzyma się wybranego terytorium i niekiedy są to duże obszary, lecz najczęściej obejmują zaskakująco małą powierzchnię i w wielu wypadkach są

niewiele większe niż duża klatka w ogrodzie zoologicznym. Jeśli na takim ograniczonym obszarze zwierzę ma dostęp do pożywienia, wody i kryjówki, nie zapuszcza się dalej.

Wielu ludzi uważa, że chwytanie dzikich zwierząt to zajęcie bardzo niebezpieczne i że tylko szalenciec może podejmować nocne wyprawy do dżungli. Tymczasem dżungla wcale nie jest groźna — ani w dzień, ani w nocy — a wszyscy jej dzicy mieszkańcy umykają przed tobą, gdzie pieprz rośnie. Atakują wyłącznie wtedy, gdy przyprzesz je do muru, a za to chyba nie można ich winić. W dżungli wszystkie stworzenia (łącznie z węzami) są bardzo dobrze wychowane i pragną tylko, żeby je zostawić w spokoju. Jeśli nie wyrządzisz im krzywdy, z całą pewnością nie zrobią ci nic złego. A zatem chwytanie dzikich zwierząt nie jest tak niebezpieczne, jak to sobie niektórzy wyobrażają. Na ogół niebezpieczeństwo wiąże się wyłącznie z twoją własną głupotą; inaczej mówiąc, gdy podejmujesz niemądre ryzyko, musisz być gotów na przykre konsekwencje. Czasami pod wpływem emocji człowiek takie ryzyko podejmuje, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji, i dopiero po pewnym czasie widzi, jak głupio postąpił.

Podczas drugiej wyprawy do zachodniej Afryki poznałem na statku pewnego młodzieńca, który zamierzał podjąć pracę na plantacji bananów. Wyznał mi, że boi się tylko jednego: węży.

Zapewniłem go, iż węże z reguły uciekają przed ludźmi w popłochu, i trzymają się z dala od nich, a prócz tego jest ich niewiele, więc wydaje się mało prawdopodobne, by je w ogóle zobaczył. Moje informacje bardzo podniosły go na duchu i obiecał, że postara się zdobyć dla mnie jakieś okazy.

Podziękowałem mu, a potem o wszystkim zapomniałem.

—>c

Gdy już zgromadziłem kolekcję zwierząt, wróciłem na wybrzeże, by załadować ją na statek. W przeddzień podróży zjawił się mój młody znajomy, oznajmiając z wielkim podnieceniem, że wypatrzył dla mnie obiecane okazy. Poinformował mnie, że odkrył na plantacji bananów jamę pełną węży i mogę je sobie zabrać, jeśli zechcę. Zgodziłem się, nie wpytując dokładnie, jak owa jama wygląda, i wyruszyliśmy na plantację jego samochodem. Gdy zajechaliśmy przed bungalow, okazało się, że mój znajomy zaprosił całą gromadę widzów. Kiedy piliśmy drinka, zauważyłem, że znajomy szuka czegoś usilnie, a gdy go zagadnąłem, czego poszukuje, odparł, że liny. Na pytanie, po co mu lina, wyjaśnił, że musi mnie opuścić w głąb jamy. Wówczas zapytałem po raz pierwszy, co to jest właściwie za jama — gdyż wyobrażałem sobie otwór o szerokości około trzydziestu stóp i o głębokości najwyżej trzech.

Ku swemu przerażeniu, zobaczyłem coś w rodzaju dużego grobu długości około dwunastu stóp, szerokości trzech i głębokości mniej więcej dziesięciu. Mój znajomy uznał, że należy spuścić mnie tam na linie jak wrózkę w przedstawieniu kukielkowym! Wyjaśniłem pośpiesznie, że aby schwytać węże w takich warunkach, muszę mieć latarkę, a nie wziąłem jej z sobą. Nikt nie miał latarki, lecz mój znajomy rozstrzygnął problem, przywiązując do liny dużą lampę naftową i wyjaśniając, że spuści ją wraz ze mną do jamy. Trudno byłoby mi protestować, zważywszy na to, że — jak słusznie podkreślił — lampa ta dawała światło znacznie jaśniejsze niż latarka. Udaliśmy się zatem wspólnie przez zalaną księżycową poświatą plantację ku owej jamie pełnej węży.

Pamiętam, że pocieszałem się po drodze, iż węże mogą się okazać zupełnie nieszkodliwe. Gdy jednak dotarliśmy do celu i oświetliliśmy jamę, zobaczyłem, że w środku kłębią się młode żmije gabońskie, jedne z najjadowitszych węży w zachodniej Afryce. Były bardzo rozdrażnione i syczały na nas, unosząc trójkątne łby.

Nie przewidywałem polowania na węże w tak głębokiej norze, w związku z czym nie byłem odpowiednio ubrany. Cienkie spodnie i zwykłe kalosze nie chronią przed ukąszeniem żmii gabońskiej, której zęby jadowe osiągają długość jednego cala. Wyjaśniłem to znajomemu, który z wielką uprzejmością poży — czył mi własne spodnie i buty, dość grube i mocne. Nie potrafiłem wymyślić innych wymówek, więc owiązano mnie liną i spuszczone w głąb otworu.

Zorientowałem się wkrótce, że otacza mnie samozaciskają—cy się węzeł, i im niżej zsuwam się w głąb jamy, tym ciaśniej węzeł mnie opasuje. Wkrótce ledwie mogłem oddychać. Tuż zanim znalazłem się na dnie, nakazałem przyjaciółom zwolnić, pragnąłem bowiem przyjrzeć się ładowisku i nabrać pewności, że żaden wąż nie zapłacze mi się pod nogami. Widząc pustą przestrzeń, wydałem polecenie, by spuszczone mnie niżej —i wówczas zdarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze: lampa, której w zamieszaniu nikt nie napełnił, po prostu zgasła; po drugie, jeden z butów pożyczonych od znajomego i za dużych na mnie spadł mi z nogi. Znalazłem się więc na dnie dziesięciostopowej jaskini bez światła i z bosą stopą, tuż ponad kłębowiskiem śmiertelnie jadowitych i poirytowanych żmij gabońskich. Nigdy przedtem tak się nie bałem. Musiałem zaczekać w ciemnościach, nie śmiejąc się poruszyć, aż moi znajomi wyciągną lampę, napełnią ją, zaświecą i opuszczą na dół. Dopiero wtedy udało mi się odnaleźć but.

Przy świetle, zaopatrzone w obuwie, poczułem się nieco raźniej i zacząłem wylapywać węże. Poszło mi łatwo. Przygwaź—dzałem gady rozwidlonym kijem, chwytalem za kark, a potem wrzucałem do worka. Musiałem tylko uważać, żeby cofając się, nie nadeptać któregoś, gdy napełniałem worek. Nic złego jednak się nie stało i w pół godziny złapałem osiem młodych żmij gabońskich. Uznałem, że to w zupełności wystarczy, i na mój sygnał znajomi wyciągnęli mnie z jamy. Dowiedziałem się wówczas, że gdy podejmujesz niemądre ryzyko, musisz być gotów na przykre konsekwencje — ni mniej, ni więcej.

Rozdział trzeci, w którym Pufcio i Dmuszka wkraczają do akcji

Gdy baza wypadowa została już przygotowana, wyglądało to tak, jakby do dżungli zjechał cyrk — zwłaszcza kiedy baza zaczęła się wypełniać schwytanymi okazami. Po jednej stronie namiotu stał rząd klatek, w których trzymałem najrozmaitsze małe zwierzęta, od myszy po mangusty.

Pierwsza klatka w szeregu należała do dwóch małych świnek rzecznych, które nazwałem Pufcio i Dmuszka i które stanowiły przeuroczą parę. Dorosła świnia rzeczna jest chyba najbarwniejszą i najładniejszą przedstawicielką rodziny świ—niowatych. Jej sierść ma nasycony pomarańczowoczerwony kolor, wzdłuż grzbietu i karku biegnie biała grzywa, a z długich, spiczastych uszu zwieszają się białe kitki. Pufcio i Dmuszka jednak, jak wszystkie warchlaki, były pasiaste: miały ciemno—czekoladową sierść, a biegnące od ryjków do ogonów paski były jasnożółte. Kłusując po swej zagrodzie, wyglądały jak dwie duże, tłuste osy.

Pierwszy przybył do obozu Pufcio. Siedział w wiklinowym koszyku, który przyniósł pewnego ranka na głowie jeden z tubylczych myśliwych, i wyglądał dość smutno. Został schwytany w buszu i wkrótce przekonałem się, że przyczyną jego żalostnego wyglądu był fakt, iż od dwóch dni nic nie jadł — od czego każdej szanującej się śwince wydłużyłby się ryjek. Myśliwy, który go schwytał, próbował karmić go bananami, ale Pufcio był o wiele za mały na taki pokarm. Potrzebował mleka — i to w dużych ilościach. Gdy tylko go kupiłem, przygotowałem dużą butelkę mleka z dodatkiem cukru, wziąłem Pufcia na kolana i spróbowałem namówić go do picia. Był mniej więcej wielkości pekińczyka, miał drobne kopytka oraz parę bardzo ostrych kłów, o czym niebawem boleśnie się przekonałem.

Pufcio oczywiście nigdy nie widział butelki do karmienia i od początku odnosił się do niej z najwyższą podejrzliwością. Kiedy wziąłem go na kolana i podjąłem próbę wetknięcia mu smoczka do pyska, uznał, że jest to nowy rodzaj tortur wymyślony specjalnie dla niego. Zaczął wrzeszczeć i kwiczeć, kopiąc ostrymi kopytkami i usiłując dziabnąć mnie kłami. Po pięciu minutach zmagania obydwaj byliśmy skapani w mleku, lecz ani kropelka nie trafiła do gardła Pufcia.

Napełniłem drugą butelkę i ponownie złapałem kwiczącego warchlaka, ściskając go mocno kolanami. Jedną ręką rozdziawiłem mu mordkę, drugą zaś zacząłem pompować mleko. Wzywał pomocy z takim zapałem, że za każdym razem wypływał porcję mleka, którą udało mi się wlać. W końcu szczęście dopisało mi na tyle, że kilka kropel spłynęło Pufciowi do gardła. Zaczekałem, aż

poczucie smaku napoju, co istotnie wkrótce nastąpiło, gdyż przestał się wyrywać i kwiczeć, zaczął natomiast mlaskać i pochrząkiwać. Wlałem mu do pyska jeszcze trochę mleka, które przełknął łapczywie, i po chwili już ssał zapamiętałe, a jego brzuszek zaokrąglął się coraz bardziej.

Wreszcie, gdy wysączył ostatnią kroplę, westchnął z głęboką satysfakcją i zapadł w mocny sen na moich kolanach, chrapiąc rozgłośnie, co przywodziło na myśl ul pełen pszczół.

Od tej chwili nie sprawiał żadnych kłopotów. Po kilku dniach zupełnie przestał się bać ludzi i na mój widok podbiegał do ogrodzenia, chrząkając i pokwikując z radości, i przewracał się na grzbiet, nadstawiając brzuch do podrapania. W porze karmienia, zaledwie dostrzegł butelkę, podniecony wysuwał ryjek przez pręty i kwiczał przenikliwie. Słyszając jego wrzaski, można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie zjadł porządnego posiłku.

Mniej więcej dwa tygodnie później pojawiła się Dmuszka. Ona także została schwytana w buszu przez tubylczego myśliwego i gorąco przeciw temu protestowała. Słyszałem jej głośnie i pełne urazy krzyki już z daleka, na długo, zanim myśliwy wniósł ją do obozu. Wrzaski nie umilkły nawet na chwilę, gdy ją kupowałem, a następnie wpuszczałem do klatki tuż obok

Pufcia. Nie umieściłem warchlaków razem, ponieważ Dmuszka była nieco większa niż Pufcio i obawiałem się, że może wyrządzić mu krzywdę. On jednak zaledwie zauważył w sąsiedniej klatce świnkę tego samego gatunku, runął ku prętom, pokwi—kując i chrząkając radośnie, Dmuszka zaś na jego widok przestała się wydzierać i podeszła, by wy badać sytuację. Przywitani się z takim zadowoleniem, jakby byli rodzeństwem. Trącali się ryjkami przez pręty i zachowywali tak przyjaźnie, że postanowiłem umieścić je w jednej klatce. Postąpiłem słusznie, gdyż zaraz podbiegli do siebie i obwąchali się w podnieceniu. Pufcio chrząknął głośnie i szturchnął Dmuszkę ryjkiem w żebra, na co ona odpowiedziała mu chrząknięciem i czmychnęła w podskokach. Tak rozpoczęła się zabawa: Pufcio gonił Dmuszkę wokół klatki i obydwoje wykonywali rozmaite manewry, odskoki, zwody i obroty — aż wreszcie, wyczerpani, usnęli na posłaniu z suchych liści bananowca, chrapiąc tak donośnie, że klatka się trzęsła.

Dmuszka szybko nauczyła się pić z butelki, ale ponieważ była o parę tygodni starsza niż Pufcio, dostawała dodatkowo stały pokarm. Codziennie, gdy już obydwie świnki wypłyły zawartość swoich butelek, wsuwałem do klatki płaską miskę z miękkimi owocami i warzywami, nad którą Dmuszka spędzała całe przedpołudnie, wtykając w nią ryjek, mlaszcząc i posapując w rozmarzeniu, zupełnie jak domowe prosię. Pufciowi wcale się to nie podobało. Był za mały, żeby jeść stały pokarm, ale nie widział powodu, żeby Dmuszka dostawała coś, czego on nie dostaje. Czuł się pokrzywdzony i stał wpatrzony w Dmuszkę z gniewnym wyrazem pyska, chrząkając z irytacją. Czasami szturchał ją łbem, usiłując odpędzić od miski, a wtedy Dmuszka, oderwana od marzeń snuty ch nad rozgniecionymi bananami, uganiała się za nim ze złością po klatce, kwicząc wściekle. Im więcej czasu spędzała przy misce, tym bardziej przygnębiony wydawał się Pufcio.

Pewnego dnia wpadł na pomysł, że uzyska dodatkowy posiłek, ssąc po prostu ogon przyjaciółki. Prawdopodobnie ów ogon przypominał mu smoczek na szyjce butelki; w każdym razie Pufcio nabrał przekonania, że jeśli będzie go ssał wystarczająco długo, otrzyma nadprogramową porcję pysznego mleka.

Dmuszka stała z ryjkiem zanurzonym w misce z owocami, po—chrząkując do siebie, a tuż za nią ustawiał się Pufcio, ssąc z całą powagą jej ogon. Nie przeszkadzało jej to, dopóki tylko ssał; czasami jednak, rozzłoszczony i zniecierpliwiony brakiem mleka, zaczynał ciągnąć i gryźć ostrymi zębami. Wówczas Dmuszka odwracała się gwałtownie i przepędzała go do kąta, szturchając mocno w bok, po czym wracała, pomrukując gniewnie do swej wypełnionej smakołykami miski. Musiałem warchlaki w końcu rozdzielić i tylko raz dziennie pozwalałem im się wspólnie pobawić, gdyż Pufcio ssał ogon Dmuszki z tak wielkim zapalem, że wkrótce obgryzł z niego całą sierść i

ogon stał się kompletnie łysy. Przez pewien czas świnki mieszkaly w osobnych klatkach, dopóki sierść na ogonie Dmuszki nie odrosła, a Pufcio nie nauczył się jeść stałego pokarmu.

Z niewiadomych przyczyn Dmuszka była o wiele bardziej nerwowa niż Pufcio — on zaś, kiedy to odkrył, robił, co mógł, żeby ją nastraszyć. Chował się za ogrodzeniem i wyskakiwał zniechęca, gdy się zbliżała, albo udawał, że śpi, i zaledwie do niego podeszła, zrywał się i atakował ją, chrząkając głośno. Pewnego dnia tak Dmuszkę przestraszył, że wpadła do miski i wypełzła z niej cała oblepiona kawałkami bananów i mango.

Pufcio wymyślił specjalny figiel, który z lubością płał każdego ranka po czyszczeniu klatki.

Kładłem w kącie suche, szeleszczące liście bananowca, służące jako posłanie, a zaledwie zdążyłem je położyć, nadbiegał pędem Pufcio i zagrzebywał się w nich po uszy, czekając cierpliwie — niekiedy nawet przez pół godziny — aż Dmuszka przyjdzie sprawdzić, gdzie się podział. Wówczas wyskakiwał z donośnym kwikiem i gonił ją po całej klatce. Czasami powtarzał tego psikusa trzykrotnie tego samego ranka, lecz doświadczenie nie potrafiło biedaczki niczego nauczyć. Gdy Pufcio wystrzelał spod liści jak pasiasta rakietą, Dmuszka podwijała ogon i umykała co sił na swych pulchnych nóżkach, najwyraźniej myśląc, że atakuje ją lampart albo inny groźny drapieżnik. Ponieważ obydwie warchlaki spędzały większą część dnia na ściganiu się po klatce i płatanu sobie nawzajem rozmaitych figli, wieczorem bywały bardzo zmęczone i ledwie starczało im sił, by zjeść kolację. Zdarzało się nawet, że usypiały przy butelce, i musiałem je budzić, T1 by skończyły posiłek. Później zagrzebywały się w posłaniu z liści, chrząkając sennie, i przez całą noc chrapały zgodnie, przytulone do siebie.

Kiedy małe świnki układały się do snu, inne zwierzęta w sąsiedniej klatce zaczynały się budzić do życia. Były to małpki galago, czyli tak zwane „dzieci buszu”, zwierzątka o rozmiarach nowo narodzonego kociaka, które wyglądają jak skrzyżowanie sowy z wiewiórką, a do tego mają w sobie coś małpiego. Ich sierść jest gęsta, miękka i szara, a ogon długi i puszysty. Dłonie i stopy są takie jak u małp, a oczy ogromne i złote jak u sowy. Przesypiały całe dni przytulone do siebie i dopiero o zachodzie słońca budziły się i zerkały zza drzwiczek sypialni, ziewając i mrugając wielkimi, zdumionymi oczyma. Potem, wciąż ziewając i przeciągając się leniwie, wychodziły powoli na środek klatki, gdzie siadały kręgiem i czyściły sobie futerko.

Był to zabieg długi i skomplikowany. Zaczynały od czubka ogona i powoli przeczesywały i wygładzały każdy skrawek sierści długimi, kościstymi palcami. Następnie, mrużąc z zadowoleniem złociste oczy, rozpoczynały kolejną wieczorną pracę — czyli ćwiczenia gimnastyczne. Przysiadły na tylnych łapkach, wyciągały się jak najwyżej, a potem w nagłym podskoku obracały się wokół własnej osi i lądowały na ziemi. Po tym zwinnym piruecie zaczynały przeskakiwać z gałęzi na gałąź, gonić się i ciągnąć za ogony, dopóki nie nabrały apetytu na kolację. Schodziły wówczas na ziemię i siadały przy drzwiczkach klatki, wyglądając z nadzieją i czekając, aż przyniosę im jedzenie.

Ich podstawowy posiłek składał się z drobno pokrojonych owoców i miski osłodzonego mleka. Na deser dostawały w dużej puszczy ulubiony przysmak — koniki polne. Galago siadały przy drzwiczkach, popiskując do siebie, a ich długie palce drżały z podniecenia, gdy wygarniałem z puszczy garść wierzgających pasikoników. Otwieranie drzwiczek, wrzucanie owadów i zamykanie klatki nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund. Natychmiast wszczynął się zgiełk i wrzawa: pasikoniki skakały we wszystkie strony, a galago goniły za nimi, wytrzeszczając oczy w podnieceniu, rzucając się szaleńczo po klatce, chwytając owady i pakując je do pyszczków. Następnie zwierzątka przysiadły z pełnymi mordkami i dłońmi, przełykając i pomrukując głośno. Przez cały ten czas obserwowały swymi ogromnymi oczyma zbiegłe pasikoniki i sprawdzały, czy którejś małpce nie dostało się więcej niż należy. Po przełknięciu ostatniego soczystego kąska ruszały w szaleńczy pościg za ocalałymi owadami. Wkrótce po pasikonikach pozostawało tylko

kilka rozrzuconych odnóży i skrzydełek. Galago nie miały jednak co do tego absolutnej pewności i przez następną godzinę badały z fascynacją każdą szczelinę, żywiąc nadzieję, że gdzieś może się kryć jakiś przeoczony przysmak.

Codziennie o zachodzie słońca czyściłem ich klatkę i wymieniałem brudną ściółkę, wkładając świeże liście. Galago przepadały za tymi stertami listowia, bawiły się lodygami i spędzały mnóstwo czasu na poszukiwaniu nieistniejących owadów, które mogły się tam ukrywać.

Pewnego wieczoru umieściłem jak zwykle w klatce świeżą ściółkę i przypadkiem znalazł się w niej złocisty kwiatek na długiej lodydze, podobny do nagietka. Nieco później, przechodząc obok klatki, zauważyłem ze zdumieniem, że jedna z małek siedzi na tylnych łapkach i ściska kwiat w dłoni, odgryzając powoli płatek po płatku. Wyrzuciła mechaty środek, którym natychmiast zaczęła się bawić jej towarzysza. Podrzucała go, a następnie dopadała i „uśmiercała” w kacie, jakby to był konik polny. Robiła to w sposób tak sugestywny, że inna małka dała się nabrać i podbiegła, by zbadać sytuację. Pierwsza galago uciekła ze środkiem kwiatka w mordce, a dwie inne popędziły za nią i zbiły się w bezładne kłębowisko na podłodze. Po walce środek kwiatka, rozszarpany na drobne strzępy, poniewierał się po całej klatce. Ponieważ zabawa z kwiatkiem dała małkom tyle radości, zacząłem wkładać im co wieczór dwa lub trzy „nagietki”, z których zjadały płatki, reszta zaś służyła im do zabawy w wolnoamerykankę.

Choć obserwowałem galago co wieczór i podziwiałem ich błyskawiczne, zwinne ruchy, nie miałem pojęcia, jakie potrafią być szybkie — dopóki jedna z nich nie uciekła.

Skończyły właśnie posiłek i wyjmowałem z klatki puste miski, gdy jedna z małek wybiegła nagle przez otwarte drzwiczki — ki, przemknęła po moim ramieniu i zeskoczyła na druciany dach.

Wyciągnąłem rękę, żeby złapać ją za ogon, lecz zwierzątko odbiło się od drutów jak gumowa piłeczka i przysiadło na samej górze, wpatrując się we mnie. Zbliżyłem się powoli i ostrożnie, ale zaledwie wyciągnąłem rękę, małka skoczyła naprzód. Przeleciała około ośmiu stóp i wylądowała lekko jak piórko na jednym ze środkowych masztów namiotu, przywierając doń niczym przyklejona. Runąłem za nią i nawet pozwoliła mi się zbliżyć do siebie. Następnie bez ostrzeżenia puściła maszt, wylądowała na moim ramieniu i natychmiast wskoczyła na inną klatkę. Po półgodzinnym pościgu byłem już zgrzany i wściekły, małka natomiast doskonale się bawiła. Złapałem ją jedynie dzięki łutowi szczęścia. Zeskoczyła ze sterty starych pudeł prosto na moją moskitierę, myśląc zapewne, że wyląduje na twardej powierzchni. Siatka ugięła się, rzecz jasna, pod ciężarem i uwięziła zwierzątko w swoich fałdach. Pochwyciłem małpkę, zanim zdołała wyplatać się z sieci. Później zawsze byłem bardzo ostrożny, otwierając klatkę galago.

Rozdział czwarty, w którym gryzą mnie Rozbójnicy

Każdy, kto miałby klatkę w sąsiedztwie małek galago, miałby prawo pomyśleć — słysząc przerażające odgłosy, które dobiegają ze środka — że znajduje się w niej para tygrysów lub innych równie groźnych i hałaśliwych zwierząt. Niemal przez cały czas słychać było warczenie, skrzeczenie, piski i chrząknięcia połączone z sapaniem i pomrukami. Harmider ten był dziełem trzech zwierzaków nieco mniejszych od przeciętnej świnki morskiej, a nazywanych przeze mnie Rozbójnikami. Były to młode kuzimanze, niewielkie drapieźniki podobne do mangusty. Jak na swoje rozmiary, stanowiły większe utrapienie niż prawie wszystkie pozostałe zwierzęta razem wzięte.

Gdy się u mnie zjawily, każdy był mniej więcej wielkości małego szczura i dopiero co otworzyły im się oczy. Ich sierść miała rudawą barwę i rosła w sterczących kępkach, noski zaś były wydłużone i różowe, jak z gumy, i węszyły ciekawie na wszystkie strony. Początkowo musiałem karmić maluchy mlekiem, co nie było łatwe, ponieważ wypijały go więcej niż jakikolwiek znany mi osesek; a ponadto były o wiele za małe, żeby pić z butelki, którą karmiłem inne niemowlaki. Musiałem więc owinać wata koniec patyczka, zanurzać go w mleku i dawać im do ssania.

Dopóki nie miały zębów, była to bardzo dobra metoda, ale gdy ząbki zaczęły im się wyrzywać, rzecz stała się kłopotliwa. Małe były tak łakome, że wgryzały się w watę niczym buldogi, nie zamierzając rozluźnić chwytu i nie pozwalając mi zanurzyć patyczka w mleku. Często wbijały zęby w watę tak mocno, że ściągały ją z patyka i potem próbowały połknąć. Musiałem wkładać im palec do pyszczków i wydłubywać watę z gardeł, żeby zapobiec uduszeniu. Bardzo tego nie lubiły, bo zawsze wtedy wymiotowały, później zaś znowu robiły się głodne i trzeba było powtarzać całe przedstawienie.

Zaledwie wyrosły im ostre ząbki, zaczęły nabierać odwagi i rozmachu i z największą ochotą wtykały swe długie nosy w cudze sprawy. Początkowo trzymałem je w koszyku przy łóżku, aby było mi łatwiej karmić je w nocy. Góra koszyka nie była zbyt solidnie umocowana i Rozbójnicy nieustannie wymykali się na wycieczki krajoznawcze. Martwiło mnie to, ponieważ mieliśmy w obozie różne groźne stworzenia, a Rozbójnicy najwyraźniej nie znali strachu i z równą swobodą wpychali nosy do klatek małp i do skrzyń z węzami. Spędzali czas na niekończących się poszukiwaniach czegoś do jedzenia i gryźli wszystko, na co się natknęli — w nadziei, że okaże się smaczne.

Pewnego razu uciekli z koszyka niezauważeni przeze mnie i powędrowali wzdłuż szeregu klatek z małpami, rozglądając się za jakimś przysmakiem. Jedna z moich małpek miała bardzo długi, jedwabisty ogon, z którego była niezmiernie dumna. Codziennie przez kilka godzin zajmowała się jego pielęgnacją, był więc nieskazitelnie czysty i lśniący. Siedziała właśnie na podłodze klatki i wygrzewała się w słońcu, a jej prześliczna ozdoba wystawała na zewnątrz, kiedy na scenę wkroczyli Rozbójnicy.

Jeden z nich natknął się na ów długi, jedwabisty ogon, leżący na ziemi; a ponieważ, jak się wydawało, nie należał on do nikogo i sprawiał wrażenie czegoś jadalnego, mały Rozbójnik rzucił się naprzód i wbił weń zęby. Na ten widok pozostała dwójka natychmiast poszła za jego przykładem. Przerazona małpka z wraskiem wdrapała się na ścianę klatki, lecz nie udało jej się strząsnąć Rozbójników; zaciskali szczęki niczym imadła, a im wyżej wspinała się małpka, tym bardziej Rozbójnicy oddalali się od ziemi. Kiedy nadszedłem, wisieli w powietrzu, obracając się powoli wokół własnej osi i warcząc przez zaciśnięte szczęki, wczepieni mocno w ogon małpki. Oderwanie ich zajęło mi kilkanaście minut, a i tak rozluźniły uchwyt dopiero wówczas, gdy dmuchnąłem im w nosy dymem z papierosa i zaczęły kaszleć.

Niedługo później Rozbójnicy w bardzo podobny sposób potraktowali mnie. Codziennie po śniadaniu pozwalałem im wędrować po moim łóżku, dopóki nie przyniesiono herbaty. Badali łóżko bardzo uważnie, chrząkając i popiskując do siebie nawzajem, drepcząc tam i z powrotem i wtykając długie różowe nosy w każdą fałdę pościeli, aby się upewnić, że nie ma tam nic jadalnego. Tamtego ranka leżałem pogrążony w półśnie, podczas gdy Rozbójnicy łazili po całym łóżku i dokonywali alpinistycznych wyczynów na kocu. Wtem poczułem przeszywający ból w stopie. Poderwałem się do pozycji siedzącej i stwierdziłem, że jeden z Rozbójników, węsząc dookoła, odkrył mój palec u nogi. Uznał, że to jakiś smakołyk, który schowałem tu specjalnie dla niego. Żarłoczny jak zawsze, wsunął do pyszczka, ile się dało, i żuł pracowicie, chrząkając z zachwytem, kiedy złapałem go za ogon i zacząłem odciągać. Opierał się co sił i był ogromnie zirytowany, że ktoś mu przeszkadza w spożywaniu tak wyśmienitego posiłku.

W końcu Rozbójnicy zanadto urosli, żeby ich trzymać w koszyku, i musiałem przenieść całą trójkę do klatki. Prawdziwą przyczyną było to, że powygryzali wielkie dziury w wiklinie i właściwie ani jeden koszyk nie pozostał cały. Nauczyli się do tego czasu jeść z miski i karmiłem ich surowymi jajkami oraz drobno posiekanym mięsem, wymieszanym z mlekiem. Zbiłem dla nich bardzo porządną klatkę, którą zaakceptowali bez zastrzeżeń. Z jednego końca znajdowała się sypialnia, reszta zaś służyła jako pomieszczenie do jedzenia i zabawy. Po obu stronach zamontowałem

drzwiczki. Miałem nadzieję, że gdy Rozbójnicy zadomowią się w nowym miejscu, przestaną sprawiać kłopoty; byłem jednak w błędzie. Problemem stało się teraz karmienie.

Klatka ustawiona była na kilku innych, w których mieszkały rozmaite zwierzęta, a zatem dość wysoko nad ziemią. Gdy tylko zbliżałem się z miską, Rozbójnicy zaczynali wrzeszczeć co sił w płucach i tłoczyli się przy drzwiczkach, wystawiając zza prętów długie różowe nosy. Myśl o posiłku tak ich podniecała i każdy z nich tak bardzo pragnął dopaść jedzenia pierwszy, że zaledwie otworzyłem drzwiczki, wypadali przez nie z krzykiem i hałasem, wytrącali mi miskę z ręki i z trzaskiem łądownali na ziemi. Pozwoliłem im wyskoczyć dwukrotnie, myśląc, że drugi wypadek odczy ich rzucania się na drzwiczki w takim pośpiechu, lecz nic to nie dało. Wylatywali z klatki jak rakiety, miska frunęła w bok, a oni spadali na ziemię, prychając i gryząc się zajadłe. Musiałem ich podnosić i wsadzać z powrotem, a następnie szedłem przygotować nową porcję jedzenia. Kiedy byli do tego stopnia podnieceni, należało bardzo uważać przy ich łapaniu, ponieważ gryźli wszystko, cokolwiek znalazło się w ich zasięgu.

W końcu zmęczeni tym wyskakowaniem z klatki przy każdym posiłku i wymyśliłem dość chytry plan. Podchodziłem do klatki z miską, jak zwykle, a oni tłoczyli się przy drzwiczkach, czekając, by wyrwać się na zewnątrz. Wówczas posyłałem kogoś na drugi koniec klatki, żeby zagrzechotał drzwiami ich sypialni. Słyszając ten dźwięk, Rozbójnicy, warcząc i pyskując, czym prędzej ruszali w stronę, z której dobiegał, przekonani, że czeka tam jedzenie. Gdy znikali w sypialni, otwierałem drzwiczki; wtedy orientowali się, że wystrychnięto ich na dudka, i pędzili z powrotem. Gdybym nie zdążył cofnąć ręki, wczepiliby się zapewne w moje palce i za nic nie chcieliby ich puścić.

Nieduże te zwierzątka przysporzyły mi chyba więcej kłopotu, ugryzień i zadrapań niż jakiegokolwiek inne stworzenie z mojej kolekcji. Mimo to nie mogłem ich nie polubić. Wiedziałem, że gryzą mnie nie ze złośliwości, tylko *po* prostu w nadmiernym podnieceniu biorą mnie za smaczny kąsek. Czasami bywałem na nie bardzo zły i myślałem o tym, z jaką radością oddam je wreszcie do zoo, żeby kto inny męczył się z nimi i narażał na pogryzienie. Gdy jednak nadeszła chwila przekazania ich ogrodowi zoologicznemu, w którym miały zamieszkać, zrobiło mi się naprawdę przykro, że mnie opuszczają. Poszedłem spojrzeć na nie po raz ostatni. W swojej obszernej klatce wyglądały tak niewinnie i słodko, drepcząc po wysypanej trocinami podłodze i wysuwając swoje głupkowate nosy, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem ich źle nie osądziłem. Rozstanie z nimi bardzo mnie zasmuciło. Przywołałem je, żeby się pożegnać. Sprawiały wrażenie tak miłych i spokojnych stworzonek, że wsunąłem palec do klatki, żeby ostatni raz podrapać je po łeb—kach. Naprawdę powinienem być mądrzejszy. Natychmiast z małych zwierzątek o niewinnym wyglądzie zmieniły się w dobrze mi znanych wrzeszczących Rozbójników — i zanim zdążyłem cofnąć palec, przypięły się do niego wszystkie trzy. Gdy w końcu udało mi się uwolnić, oddaliłem się od klatki, tamując krew chusteczką do nosa i dochodząc do wniosku, że mimo wszystko bardzo mnie cieszy to, iż w przyszłości zajmie się nimi kto inny.

Rozdział piąty, w którym mam do czynienia z pewną liczbą małp

Bardzo wiele osób, zarówno Europejczyków, jak i Afrykanów, przychodziło do obozu przyjrzeć się moim osobliwym zwierzętom. Wśród najrozmaitszych stworzeń znajdowały się oczywiście małpy, których mieliśmy około pięćdziesięciu gatunków. Dzielenie nawet tak dużego namiotu jak mój ze znaczną liczbą tych żwawych zwierząt stanowiło wyczerpujące przeżycie, gdyż pięćdziesiąt małp potrafi narobić sporego zamieszania, jeśli się do tego przyłożą. Najlepiej pamiętam trzy z naszych małp: Figlika, wąsatą małpkę; Łiiksa, czerwonogłową mangabę; oraz przede wszystkim szympansa Cholmondeleya.

Figlik, gdy zjawił się w naszym obozie, był najmniejszą małpką, jaką w życiu widziałem, gdyż — wyjąwszy długi ogon — zmieściłby się bez trudu w filiżance do herbaty i wcale nie byłoby mu za

ciasno. Miał sierść o niezwykłym odcieniu zieleni i uroczy biały gors. Głowa, jak u większości małpich dzieci, wydawała się o wiele za duża w stosunku do całego ciała i również była zielonkawa — oprócz policzków, które miały jaskrawożółty kolor. Najbardziej zdumiewająco wyglądało jednak szerokie, wijące się pasmo białych włosów nad górną wargą, które do złudzenia przypominało sumiaste wąsy. Nigdy nie widziałem czegoś równie groteskowego jak ta małeńka małpka nosząca na pyszczku ozdobę godną Świętego Mikołaja. Przez kilka pierwszych dni Figlik mieszkał w koszyku obok mego łóżka wraz z innymi maluchami i musiałem go karmić mlekiem z butelki. Była ze dwa razy większa od niego i za każdym razem rzucał się na nią z okrzykami radości, wpychał sobie smoczek do pyszczka i mocno obejmował butelkę wszystkimi czterema kończynami, żebym mu jej przedwcześnie nie odebrał. Nie pozwalał mi jej nawet przytrzymać, zapewne w obawie, że podkradnę mu część zawartości, i koziółkował po łóżku, ściskając swój skarb, co sprawiało wrażenie, jakby mocował się z awio—netką. Czasami on był górą, czasami butelka, ale przez cały czas ssał pracowicie, aż wąsy podrygiwały mu z wysiłku.

Był małpką bardzo inteligentną i szybko nauczył się pić mleko ze spodeczka, lecz z chwilą, gdy opanował tę umiejętność, nabrał wprost przerażających manier. Przed karmieniem sadzałem go na stole i kiedy zbliżałem się ze spodeczkiem, Fi—glik zaczynał szaleć z niecierpliwości: podskakiwał w podnieceniu i krzyczał, ile sił w płucach. Zaledwie jego posiłek znalazł się na stole, Figlik bez wahania dawał weń nura głową naprzód. Mleko rozbryzgiwało się na wszystkie strony, a on sadowił się pośrodku spodeczka i zanurzał cały łebek, wystawiając go dopiero wtedy, gdy nie mógł już dłużej wstrzymać oddechu. Zdarzało się, że z łakomstwa trzymał głowę w mleku trochę za długo i potem pluł i prychał niczym miniaturowa fontanna. Osuszanie go po każdym posiłku zajmowało mi pół godziny, bo gdy już skończył jeść, wyglądał tak, jakby brał mleczną kąpiel.

Uznałem, że dalej tak być nie może, ponieważ Figlik jadał pięć razy dziennie i zawsze się przy tym zamoczył, co budziło obawę, że w końcu się przeziębii. Pomyślałem, że przyczyna jego podniecenia tkwi zapewne w tym, iż siedząc na stole, widzi, jak niosę mleko, wypróbowałem zatem nową metodę karmienia. Najpierw stawiałem spodeczek, a dopiero potem sadzałem Figlika na stole. Za pierwszym razem zauważył mleko wcześniej i z przenikliwym, radosnym piskiem wyrwał mi się z rąk, poszybował wdzięcznie w powietrzu i wylądował z pluskiem pośrodku naczynia. Spodek oczywiście wywrócił się do góry dnem, a Figlik i ja ociekaliśmy mlekiem. Po tej historii spróbowałem przytrzymać go, kiedy pił, i okazało się to nieco bardziej skuteczne. Wyrwał się wprawdzie z krzykiem, bardzo zły, że nie pozwalam mu nurkować w mlecznym basenie, i niekiedy udawało mu się uwolnić i wskoczyć do spodka, zanim zdążyłem go złapać. Przeważnie jednak metoda zdawała egzamin i Figlik pozostawał w miarę suchy, nie licząc, rzecz jasna, mordki. Nie mogłem go powstrzymać przed wpychaniem jej do mleka i gdy się wynurzał, aby zaczerpnąć powietrza, cały jego pyszczek był biały od śmietanki pokrywającej dokładnie nawet wąsy.

Poza posiłkami Figlik bardzo lubił trzymać się czegoś. Wszystkie małpie dzieci w tym wieku przyczepiają się do miękkiego futra matki wędrującej po gałęziach drzew. Ponieważ stałem się dla Figlika przybraną mamą, uznał, że najślusniej postąpi, przywierając do mnie. Większość prac wykonywałem zatem, nosząc go ze sobą, i zachowywał się bardzo grzecznie: siedział mi na ramieniu i jedną łapką trzymał się mojego ucha. Pewnego dnia wykazał nadmierną śmiałość, zeskakując na drucianą krawędź klatki z dużą i agresywną małpą, która natychmiast złapała Figlika za ogon. Gdybym nie pośpieszył z pomocą, byłaby to jego ostatnia przygoda.

Doszedłem do wniosku, że siedzenie na moim ramieniu, kiedy pracuję, jest dla Figlika zbyt ryzykowne, i zamknąłem go w koszyku. Był jednak z tego powodu bardzo nieszczęśliwy i przez cały dzień piszczał żałośnie, usiłując się wydostać, musiałem więc wymyślić inne rozwiązanie.

Wyszukałem stary płaszcz i chodziłem w nim przez kilka dni, nosząc małpkę na ramieniu, jak przedtem. Kiedy oswoiła się z tym okryciem, zdjąłem je i powiesiłem na oparciu krzesła, a następnie posadziłem tam Figlika. Wydawało się, że nie zauważył, iż nie ma mnie w środku, i przylgnął do płaszcza z wielkim oddaniem.

Odtąd codziennie rano kładłem płaszcz na oparciu krzesła i sadzałem na nim Figlika, który wczepiał się weń radośnie, podczas gdy ja zajmowałem się pracą. Sądził zapewne, że płaszcz jest częścią mnie, czymś w rodzaju dodatkowej skóry; a dopóki towarzyszyła mu jakaś częśćka mnie, był zupełnie zadowolony. Prowadził ze mną długie, piskliwe rozmowy, kiedy pracowałem, nigdy jednak nie próbował opuścić płaszcza i wspiąć mi się na ramię. Po powrocie do Anglii, w Liverpoolu, Figlik wspaniale się bawił, siedząc na moim ramieniu i pozując do zdjęć dla prasy. Dziennikarze byli nim zafascynowani; żaden z nich nigdy nie widział tak maleńkiej małpki. Pewien reporter wpatrywał się w niego przez długą chwilę, po czym zwrócił się do mnie ze słowami: „Wie pan, on wydaje się o wiele za młody, żeby mieć takie wąsiska”.

Łiiks, czerwonogłowa mangaba, zawdzięczał swoje imię odgłosom, które wydawał. Gdy się podeszło do jego klatki, otwierał szeroko pyszczek i krzyczał wniebogłose: „Łiiks, liiks!”. Sierść Łiiksa miała subtelny, szary odcień, z wyjątkiem białej obróżki na szyi i pokrywającego czubek głowy futerka barwy mahoni. Mordka była ciemnoszara, a powieki kremowobiałe. Na ogół pozostawały niewidoczne, tylko na powitanie Łiiks gwałtownie unosił brwi i opuszczał powieki, co wyglądało zupełnie, jakby białe okiennice przesloniły jego oczy.

Mieszkał sam w klatce i bardzo się nudził, nie mając się z kim bawić, ale w mojej kolekcji był jedynym przedstawicielem swego gatunku. Nie wiedział o tym, ponieważ wszędzie wokół słyszał inne małpy i wyczuwał ich zapach, dlatego uważał, że postępuję bardzo nieładnie, nie wypuszczając go z klatki, żeby mógł się pobawić. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie wygrzebać po kryjomu dziurę w ścianie.

Odkrył między deskami niewielką szczelinę i zabrał się do poszerzania jej palcami i zębami. Drewno było bardzo twarde i dopiero po długim skubaniu i podgryzaniu zdołał oderwać małą drzazgę. Uważnie obserwowałem, czy otwór się nie powiększa, lecz Łiiks nie miał o tym pojęcia i myślał, że o niczym nie wiem. Całymi godzinami gryzł i szarpał drewno, ale zaledwie usłyszał moje kroki, wskakiwał na drążek i siadał na nim z najniewinniejszą miną, unosząc brwi, pokazując białe powieki i mrugając wesoło, aby dać mi do zrozumienia, że w całym obozie nie ma drugiej małpy równie jak on niezdolnej do perfidnych postępów.

Nie ruszałem na razie dziury Łiiksa, sądząc, że zrezygnuje, gdy się przekona, że jak twardym drewnem ma do czynienia. Ku mojemu zdumieniu, stało się inaczej. Tak go to wciągnęło, że każdą wolną chwilę spędzał na gryzieniu, skrobaniu i ssaniu desek. Ilekroć jednak pojawiłem się w pobliżu, siedział już na drążku, jak gdyby nigdy nic, i tylko kilka drzazg zaplątanych w sierści na jego podbródku zdradzało, że kontynuuje prace wykopaliskowe. Wydawał się tak głęboko przekonany, że nie znam jego tajemnicy, iż pewnego dnia postanowiłem zrobić mu niespodziankę. Przyniosłem właśnie Łiiksowi miskę mleka, więc nie spodziewał się mojego powrotu przed upływem co najmniej godziny. Pokrzepiony napojem, zabrał się do roboty. Dałem mu trochę czasu na dobry początek, a następnie podkrađłem się do klatki. Łiiks przycupnął na podłodze z mordką zastygłą w wyrazie ponurej determinacji, szarpiąc oburącz dość duży kawałek drewna. Był on bardzo oporny i choć Łiiks ciągnął z całych sił, nie udawało mu się go oderwać. Rozzłoszczony, zaczął mamrotać do siebie i stroić niesamowite grymasy. W chwili gdy pochylał się nad denerwującą drzazgą, by sprawdzić, czy nie dałoby się jej przegryźć, zapytałem go surowym głosem, co tu wyprawia.

Podskoczył jak ukłuty szpilką i obejrzał się przez ramię z przerażeniem i poczuciem winy wypisanymi na obliczu. Zapytałem znowu, co takiego knuje, on zaś obdarzył mnie słabym

uśmiechem i niemrawo spróbował pokazać mi powieki. Widząc, że nie odwróci mojej uwagi, bojaźliwie puścił drzazgę, złapał pustą miskę po mleku i wskoczył na swój drążek, gdzie —straszliwie zakłopotany — przykrył sobie miską głowę i wywinął koziołka w tył, spadając na podłogę klatki. Wyglądał tak komicznie, że musiałem się roześmiać; uznał więc, że mu wybaczyłem. Wrócił na drążek, nasadziwszy na łeb miskę jak blaszany hełm, i ponownie fiknął na podłogę. Tym razem uderzył się boleśnie w głowę i musiał podejść do drzwiczek, żebym pottrzymał go za łapki, dopóki nie poczuje się lepiej.

Kiedy wyszło na jaw, że wiem o jego dziurze, przestał się ukrywać i drażył ją pracownicy na moich oczach. Skarcony, powtarzał sztuczkę z miską i fikaniem z drążka, a gdy parskałem śmiechem, zakładał, że mu przebaczyłem, i wracał do roboty. Na wszelki wypadek przybiłem jednak od zewnątrz kawałek drucianej siatki, która niezmiernie zirytowała Łiiksa, kiedy na nią natrafił. Przekonawszy się, że nie może jej odsunąć, dość niechętnie zrezygnował ze swego podkopu, lecz nigdy nie zapomniał sztuczki z drążkiem i zawsze, gdy byłem na niego zły, prezentował ją, żeby mnie w ten sposób udobruchać.

Rozdział szósty, czyli *historia szympansa Cholmondeleya*

Kiedy szympans Cholmondeley dołączył do mojej kolekcji, natychmiast został jej niekoronowanym królem — nie tylko ze względu na swoje rozmiary, ale także dlatego, że był niezwykle inteligentny. Należał przedtem do zarządcy okręgu, który chciał wysłać go do londyńskiego ogrodu zoologicznego, a dowiedziawszy się, że łowię w tej okolicy dzikie zwierzęta i wkrótce wracam do Anglii, napisał do mnie z prośbą, czy nie zabrałbym Cholmondeleya ze sobą, żeby przekazać go dyrekcji zoo. Odpowiedziałem, że ponieważ mam już sporą kolekcję małp, jeden szympans więcej nie zrobi różnicy i chętnie odwiozę Cholmondeleya do Anglii.

Wyobrażałem go sobie jako młodego, może dwuletniego samca, mierzącego około dwóch stóp. Kiedy przybył, przeżyłem poważny wstrząs.

Pewnego ranka przy obozie zatrzymała się niewielka półcień—żarówka z olbrzymią drewnianą klatką z tyłu. Uznałem, że z powodzeniem mogłaby pomieścić słonia, i zacząłem się zastanawiać, co, u licha, siedzi tam w środku. Kiedy kierowca wyjaśnił, że przywiózł Cholmondeleya, pomyślałem sobie, jaki głupi musi być właściciel, który wysłał małego szympansika w tak ogromnej klatce. Otworzyłem drzwi, zajrzałem i zobaczyłem Cholmondeleya. Od razu zauważyłem, że nie jest malutkim szympansiątkiem, lecz dorosłym, ośmio— lub dziewięcioletnim samcem. Siedział zgarbiony w ciemnej klatce i zdawał się dwa razy większy ode mnie, a wyraz jego oblicza pozwalał się domyślać, że podróż nie przypadła mu do gustu. Zanim zdążyłem zatrzasać drzwiami, Cholmondeley wyciągnął potężne, włochate ramię, ujął moją dłoń i uściśnął ją serdecznie. Następnie a r odwrócił się, zgarnął z podłogi długi łańcuch (którego koniec przymocowany był do obroży na jego szyi), owinął go starannie wokół ramienia i wyszedł z klatki. Stał przez chwilę, przyglądając mi się badawczo, z wielkim zainteresowaniem rozejrzał się po obozie, a potem wyciągnął rękę, patrząc na mnie pytająco. Podałem mu dłoń i razem wkroczyliśmy do namiotu.

Cholmondeley natychmiast usadowił się na jednym z krzeseł przy stoliku, opuścił łańcuch, oparł się i założył nogę na nogę. Przez kilka minut rozglądał się z wyniosłą miną, po czym —uznawszy najwyraźniej, że wewnątrz mu odpowiada — ponownie obrzucił mnie pytającym spojrzeniem. Zapewne życzył sobie, abym go czymś poczęstował po męczącej podróży. Uprzedzono mnie, że jest zagorzałym miłośnikiem herbaty, zawołałem zatem do kucharza, aby przygotował imbryk. Następnie wyszedłem rozejrzeć się po klatce Cholmondeleya i znalazłem olbrzymi, wyszczerbiony, metalowy kubek. Kiedy wróciłem z nim do namiotu, Cholmondeley uradował się niezmiernie i nawet pochwalił moją bystrość radosnym „huu, huu”.

W oczekiwaniu na herbatę usiadłem naprzeciw Cholmondeleya i zapaliłem papierosa. Ku memu zdziwieniu, bardzo go to poruszyło i wyciągnął nad stołem rękę w moją stronę. Zaciekawiony jego zachowaniem, podałem mu paczkę. Otworzył ją, wyjął papierosa i wsadził go sobie w zęby. Potem znowu wyciągnął rękę, a ja podsunąłem mu zapalki. Ze zdumieniem patrzyłem, jak wyjmując jedną z pudełka, pociera o brzeg, zapala papierosa i rzuca pudełko na stół. Odchyliwszy się na oparcie krzesła, wydmuchnął kłęb dymu. Nikt mi nie powiedział, że Cholmondeley pali. Z pewnym niepokojem zacząłem się zastanawiać, czy jego opiekun nie ukrył przede mną jakichś innych drożnych nawyków swego pupila.

W tej właśnie chwili wniesiono herbatę, co Cholmondeley powitał okrzykami szczerzej radości. Obserwował mnie uważnie, gdy nalewałem mleka do jego kubka i dopełniałem je esencją. Wiedziałem, że bardzo lubi słodkie rzeczy, więc wsypałem sześć łyżeczek cukru — na co zareagował pomrukami pełnymi zadowolenia. Położył papierosa na stole i ujął kubek oburącz, wysuwając ostrożnie dolną wargę i próbując, czy herbata nie jest zbyt gorąca. Ponieważ trochę parzyła, dmuchał na nią przez chwilę z wielkim zapałem, dopóki nie ostygła, a potem wypił wszystko niemal jednym haustem. Wysączywszy ostatnie krople, zajrzał do kubka i wygrzebał palcem cukier, który osiadł na dnie. Następnie oparł sobie naczynie na nosie i siedział tak przez jakieś pięć minut, dopóki cały cukier nie spłynął mu do ust.

Ustawiłem klatkę Cholmondeleya nieco dalej od namiotu i przymocowałem koniec łańcucha do sporego pniaka. Uznałem, że jest to odpowiednie miejsce: z tej odległości nie mógł nam narobić kłopotu, a jednocześnie obserwował wszystko, *co* się działo, i prowadził ze mną długie rozmowy w narzeczu „huu—huu”. Niemniej w dniu jego przyjazdu, zaledwie przywiązałem go do pniaka, zaczęły się problemy. Przed moim namiotem stały wbite w ziemię paliki, do których uwiązałem na długich sznurkach małe, oswojone małpki. Było ich około dziesięciu, a nad nimi wznosił się daszek z liści palmowych, który sam zbudowałem, żeby zapewnić im trochę cienia. Badając okolicę Cholmondeley zauważył małpki — część z nich jadła owoce, inne zaś spały w nasłonecznionych miejscach — i doszedł do wniosku, że poćwicz na nich grę w kręgle. Byłem akurat w namiocie, gdy nagle usłyszałem przeraźliwy zgiełk na zewnątrz. Wszystkie małpy podniosły wściekły wrzask, wybiegłem więc przed namiot zobaczyć, co się stało. Tymczasem Cholmondeley rzucił w swych małych pobratymców kamieniem wielkości główki kapusty, nie trafiając na szczęście w żadną z małpek, lecz za to przerażając je do utraty zmysłów. Uderzenie takim kamieniem mogło zabić każdą z nich na miejscu.

Kiedy się zjawiłem, Cholmondeley trzymał już następny pocisk, kołysząc nim jak zawodowy gracz w krykieta i namierzając cel. Był zirytowany, że nie trafił za pierwszym razem. Złapałem patyk i z krzykiem podbiegłem do szympansa. Ku memu zaskoczeniu, Cholmondeley upuścił kamień, osłonił głowę ramionami i zaczął z wrzaskiem tarzać się po ziemi. Trzymałem w ręku cienką, pochwyconą w pośpiechu gałązkę, on zaś miał plecy szerokie i twarde jak stół, więc nie wywarło to na nim najmniejszego wrażenia.

Zdzieliłem go tą śmieszną różgą i porządnie zbeształem. Siedział przede mną z zawstydzoną miną, wyskubując liście z sier—ści. Tubylcy pomogli mi usunąć kamienie leżące wokół jego klatki. Wygłosiwszy karcącą przemowę, powróciłem do pracy. Miałem nadzieję, że zrozumiał moją reprimendę; gdy jednak po pewnym czasie wyjrzałem z namiotu, grzebał w ziemi, poszukując zapewne nowej amunicji.

Wkrótce po przybyciu do obozu Cholmondeley zachorował, co mnie bardzo zaniepokoiło. Niemal przez dwa tygodnie nie chciał jeść i odmawiał nawet najśodszych owoców oraz innych smakołyków, a także herbaty, co było po prostu nie do pomyślenia. Wypijał tylko parę łyków wody i chudł coraz bardziej; miał zapadnięte oczy i byłem pewien, że nie przeżyje. Stracił wszelkie zainteresowanie życiem i całymi dniami przesiadywał zgarbiony w klatce, przymykając oczy.

Taka długotrwała chandra mogła mieć bardzo złe skutki, więc zacząłem go zabierać na spacery wieczorem, tuż przed zachodem słońca, kiedy robiło się chłodniej. Były to krótkie przechadzki i musieliśmy często odpoczywać, gdyż Cholmondeley osłabł z niedożywienia.

Pewnego wieczoru przed spacerem napełniłem kieszenie ciasteczkami, które Cholmondeley szczególnie lubił. Wdrapaliśmy się na pagórek tuż za obozem i usiedliśmy, żeby podziwiać krajobraz. Wyjąłem z kieszeni ciastko i schrupałem je, oblizując się ze smakiem, lecz nie poczęstowałem Cholmonde—leya. Był bardzo zaskoczony, gdyż zawsze dzieliłem się z nim podczas wspólnych spacerów. Zjadłem drugie ciastko, on zaś wpatrywał się we mnie czujnie, sprawdzając, czy mi to naprawdę smakuje. Przekonawszy się, że tak, zanurzył dłoń w mojej kieszeni, wyciągnął ciastko, obwąchał je podejrzliwie, po czym — ku mej radości — zjadł je i zaczął szukać następnego. Zrozumiałem wtedy, że wyzdrowieje. Nazajutrz rano wypił kubek słodzonej herbaty i zjadł siedemnaście ciastek. Przez trzy dni żywił się tylko tym. Później odzyskał apetyt i w dwa tygodnie pochłoniął podwójną porcję pożywienia, a banany dla niego kosztowały majątek.

Cholmondeley nie znosił jedynie Afrykanów i węży. Prawdopodobnie jacyś Afrykanie drażnili go w dziecięcych latach. Tak czy inaczej, odpłacił im niejeden raz. Chował się w klatce i czekał, aż zbliży się do niej jakiś Afrykanin. Wówczas wyskakiwał ze zjeżoną sierścią, wymachując ramionami i wrzeszcząc przeraźliwie. Wiele tęgich kobiet z koszami owoców na głowach wybierało ścieżkę obok klatki Cholmondeleya, następnie zaś musiało podwijać spódnice i uciekać co sił w nogach przed szympansem tańczącym zwyczajnie, pokrzykującym i szczerzącym zęby w radosnym uśmiechu.

Przy węzach, rzecz jasna, nie okazywał takiej odwagi. Kiedy dotykałem któregoś z nich, bardzo poruszony załamywał ręce i jęczał ze strachu, a gdy gad czołgał się ku niemu, uciekał jak najdalej i wzywał pomocy, rzucając w węża patykami i trawą.

Pewnego wieczoru poszedłem go zamknąć i ze zdziwieniem zauważyłem, że odmawia wejścia do klatki. Jego łóżko z liści bananowca było świeżo posłane, uznałem więc, że jest po prostu niesforny; gdy jednak zacząłem go karcić, wziął mnie za rękę, podprowadził do klatki i uciekł, zerkając niespokojnie z drugiego końca łańcucha. Pomyślałem, że w klatce z pewnością znajduje się coś przerażającego; istotnie, niebawem odkryłem niewielkiego węża pośrodku posłania. Gad nie był jadowity, lecz Cholmondeley węży nie rozróżniał i wołał nie ryzykować.

Cholmondeley tak szybko się uczył i tak chętnie pokazywał swoje sztuczki, że w Anglii stał się sławny i nawet pokazano go w telewizji. Ku zachwytowi publiczności, siadał na krześle w kapeluszu, zapalał papierosa, nalewał sobie piwa, wypijał je i robił wiele innych rzeczy. Sława chyba uderzyła mu nieco do głowy, gdyż wkrótce potem uciekł z zoo i powędrował przez Regent[^] Park, strasząc przechodniów. Przy jednej z głównych ulic odkrył autobus i żwawo wkroczył do niego, gdyż uwielbiał przejażdżki. Pasażerowie wzgardzili jednak towarzystwem szympansa i zaczęli pchać się tłumnie ku wyjściu. W tej samej chwili pojawili się opiekunowie z zoo i zabrali Cholmondeleya. Odprowadzili go w niełasce do klatki — lecz, o ile go znam, widok spłoszonych pasażerów autobusu, tłoczących się w drzwiach, wart był kary. Cholmondeley miał duże poczucie humoru.

Rozdział siódmy, czyli *opowieść o włochatych żabach, żółwiach leśnych i innych zwierzętach*

Chwywanie zwierząt jest na ogół, choć nie zawsze, najłatwiejszą częścią wyprawy. Gdy już złapiesz okazy, musisz zachować je przy życiu i w dobrym zdrowiu, a to często bywa trudne. Zwierzęta w różny sposób reagują na niewolę i zdarza się, że przedstawiciele tego samego gatunku zachowują się zupełnie inaczej. Czasami różnice są drobne, a czasami reakcje zwierząt bywają tak odmienne, iż można by pomyśleć, że stworzenia owe należą do odrębnych gatunków.

Raz kupiłem od myśliwego dwa małe dryle. Są to owe duże, szare pawiany o różowych pośladkach, trzymane w większości ogrodów zoologicznych. Moje dwa maluchy bardzo dobrze się zaadaptowały, miały jednak wiele drobnych nawyków, którymi różniły się od siebie. Na przykład gdy dostawały banany, jedna małpka starannie obierała owoc, zjadała go i wyrzucała skórkę, druga zaś — obrawszy banana równie starannie — zjadała skórkę i wyrzucała owoc. Jedną z najważniejszych pozycji w małpim jadłospisie była cowieczorna porcja mleka. Mieszałem mleko w proszku z gorącą wodą w dużej bańce po nafcie, a potem dodawałem tabletki wapna oraz kilka łyżek siodu z tranem, uzyskując napój o wyglądzie słabej kawy. Większość maluchów piła go bez wahania i w porze karmienia popadała na widok misek w absolutne szaleństwo. Potrząsały prętami klatek, wrzeszczały i tupały z podniecenia, kiedy nalewałem mleko. Dorosłe osobniki jednak potrzebowały więcej czasu, żeby się przyzwycząić do tego dziwnego bladobrazowego płynu. Z jakichś powodów odnosiły się do niego bardzo podejrzliwie.

Czasami udawało mi się nakłonić nowo przybyłą małpę do wypicia mieszanki w ten sposób, że obracałem klatkę, aby zwierzę zobaczyło inne małpy, chłęczące mleko ze swych misek tak gorliwie, że aż dostawały czkawki. Wówczas zaciekawiony przybysz dochodził do wniosku, że warto zbadać zawartość miski. Gdy już raz skosztował napoju, szybko popadał w podobny entuzjazm, jak pozostałe małpy. Zdarzały się jednak wyjątkowe uparciuchy, które nie chciały nawet spróbować mleka, mimo iż obserwowały zachowanie reszty. Odkryłem, że w takich wypadkach jedyną metodą jest oblanie kubkiem mleka rąk i stóp małpy. Ponieważ są to niezmiernie czyste stworzenia, małpa zaczynała wylizywać sierść, aby pozbyć się lepkiej ciecicy, i gdy już poznała smak i zapach mleka, chętnie piła je z miski.

Karmienie większości zwierząt jest rzeczą dość prostą, jeśli wiesz, czym się żywią na swobodzie. Zwierzęta mięsożerne, takie jak mangusta czy dziki kot, mogą być żywione mięsem kóz albo krów, surowymi jajkami oraz mlekiem. Ważne jest, by dostawały dużo pokarmu niestrawnego. Kiedy na swobodzie zabijają zdobycz, zjadają ją razem ze skórą, kośćmi i tak dalej; jeśli zatem przywykły do przyjmowania takiego pokarmu, mogą rozchorować się i zdechnąć, nie otrzymując go w niewoli. Miałem duży koszt pełen piór i sierści i zawsze oblepiałem nimi kawałki mięsa, zanim dałem je mangustom.

Ten sam problem dotyczył ptaków drapieżnych. Na przykład sowa w pewien czas po zjedzeniu myszy zwraca kości i skórę w postaci zbitych, owalnych grudek, zwanych wypluwkami.

Trzymając sowy w niewoli, należy zawsze sprawdzać, czy regularnie wypluwają te grudki, gdyż jest to dowód, że ptak cieszy się dobrym zdrowiem. Kiedyś wychowywałem sowie pisklęta, dla których nie mogłem znaleźć odpowiedniego dodatku do pokarmu i musiałem owijać kawałki mięsa watą, zanim wepchnąłem je w wiecznie otwarte dzioby. Ku memu zaskoczeniu, pomysł ten zdał egzamin i przez kilka tygodni małe sowy wypluwały grudki złożone z samej waty. Ich klatka, zasypana białymi kulkami, wyglądała jak po bitwie na śnieżki.

Najwięcej kłopotu sprawiają te gatunki zwierząt, które na swobodzie żywią się jednym rodzajem pokarmu. W zachodniej

Afryce żyją pangoliny, czyli łuskowce nadrzewne, duże zwierzęta o długich spiczastych nosach i długich ogonach, na których mogą się zwieszać z gałęzi drzew. Mają ciała pokryte sporymi, ciasno zachodzącymi na siebie łuskami, przez co wyglądają jak jodłowe szyszki o dziwacznym kształcie. Na swobodzie łuskowce te jedzą wyłącznie mrówki, wybierając je z gniazd na drzewach. W Afryce mogłem bez kłopotu dostarczać im naturalnego pożywienia w każdej ilości, lecz w Anglii byłoby to, niestety, niewykonalne. Dlatego musiałem przyzwycząić zwierzę do pokarmu zastępczego, łatwego do zdobycia w zoo, dla którego okaz jest przeznaczony. Przywożenie do Anglii łuskowca żywiącego się wyłącznie mrówkami nie miałoby sensu, ponieważ żaden ogród zoologiczny nie mógłby ich dostarczyć.

Mój łuskowiec musiał nauczyć się jeść papkę sporządzoną z niesłodzonego mleka skondensowanego, drobno posiekanego surowego mięsa i surowego jajka. Zwierzęta te są bezdennie głupie i nauka jedzenia owej mieszanki zajmowała im zazwyczaj parę tygodni. Przez kilka pierwszych dni przeważnie wywracały miskę z zawartością, jeśli nie była przymocowana. Stworzeniem, z którym miałem pod tym względem mnóstwo kłopotów, było bardzo rzadkie zwierzę, znane jako wodnica ka—meruńska. Jest to dość duży ssak o czarnym, wydłużonym ciele, gęstych białych wibrysach i dziwacznym, skórzastym ogonie, przywodzącym na myśl kijankę. Zamieszkuje rwące strumienie w zachodnioafrykańskiej dżungli. Podobnie jak łuskowiec, odżywia się na swobodzie nader jednostronnie, zjadając wyłącznie duże, brunatne kraby słodkowodne, występujące w wielkiej obfitości. Kiedy złapałem pierwszą wodnicę, przez kilka dni karmiłem ją krabami, dopóki nie przyzwyczała się do nowych warunków. Następnie podjąłem próbę przedstawienia jej na pokarm zastępczy, który miałyby dostawać w Anglii.

Kupiłem na pobliskim targu dużą ilość suszonych krewetek, które tubylcy dodają do jedzenia. Pokruszyłem je i wymieszałem z surowym jajkiem i drobno posiekanym mięsem. Później przepołowiłem martwego kraba, wypatroszyłem go i nadziałem moją mieszanką. Złożyłem połówki z powrotem, odczekałem, aż wodnica solidnie zgłodnieje, i wrzuciłem jej fałszywą zdobycz do klatki. Zwierzę rzuciło się na kraba, załatwiło się z nim jak zwy— kle dwoma szybkimi kłapięciami, po czym znieruchomiało, węsząc podejrzliwie; najwyraźniej krab smakował inaczej niż jadane dotychczas. Wodnica powęszyła przez chwilę i po krótkim namyśle uznała, że jest to całkiem przyjemny smak, zabrała się więc do jedzenia i szybko pochłonęła wszystko. Przez kilka tygodni dostawała codziennie pewną ilość żywych krabów i pewną ilość nadziewanych, dopóki nie przyzwyczała się do smaku nowego pożywienia. Później zacząłem dawać jej mieszankę w misce, kładąc na wierzchu martwego kraba. Chrupiąc go, odkrywała pod spodem pokarm i po paru dniach eksperymentu jadła już bez problemu prosto z miski.

Gdy przynoszono mi jakieś zwierzę, mogłem zazwyczaj określić, jaki mniej więcej rodzaj pożywienia będzie mu odpowiadał; zawsze jednak pytałem miejscowego myśliwego, który je schwytał, czy nie wie, czym ono się żywi — na wypadek gdyby zauważył w dżungli coś szczególnego, co pomogłoby mi urozmaicić dietę zwierzęcia w niewoli. Przeważnie myśliwi nie mieli zielonego pojęcia, co jedzą schwytane przez nich stworzenia, i po prostu odpowiadali, że ich pokarm to *hanga*, czyli owoce olej owca. W przypadku szczurów, myszy i wiewiórek istotnie tak było, ale tubylcy zapewniali mnie również niejednemu raz, że owocami tymi żywią się takie stworzenia, jak węże czy małe ptaki, w co już nie mogłem uwierzyć. Tak do tego przywykłem, że ilekroć słyszałem od myśliwego, iż przyniesione przez niego zwierzę jada wyłącznie owoce olej owca, automatycznie odrzucałem tę możliwość.

Pewnego dnia kupiłem cztery śliczne żółwie leśne, które cieszyły się doskonałym zdrowiem i szybko zadomowiły na specjalnie ogrodzonym, niewielkim terenie. Karmienie żółwi jest przeważnie zadaniem bardzo łatwym. Jedzą prawie wszystkie rodzaje liści, warzyw i owoców, niekiedy z dodatkiem odrobiny surowego mięsa. Te żółwie okazały się jednak wyjątkiem. Nie chciały nawet tknąć żadnego z rozlicznych przysmaków i kręciły nosami na wszystkie zdobyte z trudem dojrzałe owoce i kruche liście. Nie mogłem tego zrozumieć i zacząłem się o nie poważnie martwić.

Jakiś czas później zjawił się w obozie pewien myśliwy. Pokazując mu kolekcję i informując, jakich zwierząt szukam, zwróciłem jego uwagę na moje żółwie i na fakt, że odkąd je mam — to znaczy od dwóch albo trzech tygodni — nie chcą nic jeść. Powiedział mi z punktu, że dają im nie to, co trzeba, i że te żółwie nie jedzą owoców ani liści. Stwierdził stanowczo, iż żywią się drobnymi białymi grzybkami, rosnącymi w dżungli na pniach powalonych drzew. Jeśli mam być szczery, nie uwierzyłem mu. Pomyślałem, że jest to po prostu inna wersja opowieści o owocach olejowca.

Minął jednak kolejny tydzień i żółwie nadal nic nie jadły, więc w rozpaczy posłałem dwóch chłopców z koszykiem do dżungli, poleciwszy im, aby nazbierali jak najwięcej białych grzybków. Kiedy wrócili, wrzuciłem do zagrody żółwi całą zawartość koszyka i stanąłem obok, żeby je obserwować. Chyba nigdy w życiu nie widziałem żółwi poruszających się tak szybko.

Pokłusowały rączo ku stercie grzybów i już po chwili chrupały je radośnie, a sok spływał im po brodach. Co dziwne, po tym posiłku zaczęły jeść również inny pokarm i kilka tygodni później zupełnie zrezygnowały z grzybów, wybierając znacznie chętniej pyszne, dojrzałe mango.

W miarę powiększania się mojej kolekcji nakarmienie tak dużej liczby zwierząt o bardzo zróżnicowanych gustach stało się pewnym problemem. Na pobliskim targu kupowałem mięso, owoce, jaja i kurczęta, ale potrzebowałem jeszcze innych rodzajów pożywienia.

Wszystkie ptaki, większość małych oraz stworzenia, takie jak galago czy niektóre szczury leśne przepadały za konikami polnymi i szarańczą, i żeby utrzymać je w dobrym zdrowiu, musiałem zapewnić im stały dopływ tych przysmaków. Ponieważ nawet na zachodnioafrykańskim targu nie można kupić pasikoników ani szarańczy, zwerbowałem specjalną grupę łowców owadów.

Składała się z dziesięciu małych chłopców, którzy mieli bystry wzrok i potrafili szybko biegać. Zaopatrzyłem każdego w dużą puszkę po papierosach i siatkę na motyle, i dwa razy dziennie wyruszali na łowy, chwytając „owady do siatek, a gdy napełnili puszki, wracali do obozu. Płaciłem im nie za czas, który na to poświęcali, lecz za liczbę złapanych pasikoników. Przeciętna stawka wynosiła jednego pensa za pięć pasikoników i niektórzy chłopcy, szybsi i zwinniejsi od innych, zarabiali nawet piętnaście do dwudziestu pensów dziennie.

Tubylcy nazywają pasikoniki *pampalo*, dlatego nadałem chłopięcej drużynie miano Pampalołapów. Jeśli któreś zwierzę sprawiało wrażenie chorego albo należało ukoić przysmakiem zranione uczucia jakiegoś nowego nabytku, skrzykiwałem Pampalołapów, oni zaś wyruszali na trawiaste równiny, by dostarczyć świeżych owadów.

Poważniejszy problem stwarzało zaopatrzenie w owady wszystkich moich ptaków, gdyż większość z nich była zbyt mała, by poradzić sobie z dużymi, kłującymi pasikonikami. Najbardziej lubiły pewien gatunek termitów i musiałem zatrudnić drugą grupę chłopców, żeby mi je przynosili. W zachodniej Afryce występuje kilkanaście gatunków termitów, lecz dla mnie najbardziej przydatny okazał się gatunek zwany „grzybowymi”. Termyty te wznosiły na cienistych polanach między drzewami przedziwne gniazda z szarej gliny. Gniazda owe wyglądały jak olbrzymie muchomory wysokości około dwóch stóp. Ich wnętrze przypominało plaster miodu pełen wąskich korytarzy i małych komórek, w których mieszkały robotnice i larwy. Moi łowcy termitów wyruszali do dżungli wczesnym rankiem i wracali wieczorem, a każdy niósł na wełnistej głowie trzy lub cztery gniazda.

Przechowywałem je w chłodnym, ciemnym miejscu i w porze karmienia ptaków rozpościerałem na ziemi dużą płócienną płachtę, a potem ostrożnie rozcinałem gniazdo tasakiem. Następnie wytrząsałem gromadę dużych i małych termitów do misek, które wpychałem szybko do ptasich klatek, zanim owady się rozpełzły. Ptaki rozumiały, że wskazany jest pośpiech, i zaledwie zamknąłem drzwiczki, siadały na brzegu miski, dziobiąc zapamiętane.

Oprócz problemu wyżywienia licznego i zróżnicowanego zwierzyńca istniał jeszcze problem związany z budową odpowiednich klatek. Każdy gatunek musiał mieć własną, specjalną klatkę, starannie zaprojektowaną i wykonaną, zapewniającą chłód w tropikach, a ciepło na statku płynącym do Anglii. Jako dodatkowe zabezpieczenie stosowałem naciągane płócienne zasłony, które chroniły zwierzę przed zimnym wiatrem i deszczem.

Ważne były również rozmiary klatek. Niektóre drobne zwierzęta czuły się dobrze tylko w obszernej klatkach. Niektóre duże zwierzęta z tych samych powodów potrzebowały klatek niewielkich. Na przykład małpki galago musiały mieć mnóstwo miejsca, żeby móc biegać i skakać,

jako że na swobodzie robią to nieustannie, a zbyt ciasna klatka uniemożliwiłaby im wykonywanie ćwiczeń gimnastycznych.

Z drugiej strony miałem w swej kolekcji piękne nakrapia—ne antylopy wodne, zwane kanczylami, które musiały przebywać w długich, wąskich klatkach, gdzie nie mogły się nawet obrócić. Ściany klatek wyłożono płótnem wypchanym watą. Powodem tego była niesłychana nerwowość tych zwierząt, mogły bowiem wpaść w panikę, gdyby klatka zaczęła podskakiwać i trząść się na wybojach podczas jazdy ciężarówką, a potem przy załadunku na statek. W obszernej klatce zaczęłyby biegać w kółko, tracąc w końcu równowagę, a upadając, mogłyby połamać sobie smukłe, kruche nogi. W długim i wąskim pomieszczeniu natomiast wspierały je z obu stron miękkie ściany, zapobiegając upadkom i złamaniom. Chroniły również skórę przed otarciem do krwi o drewno.

Co dziwne, wyściełaną klatkę musiałem przygotować dla jeszcze jednego stworzenia: pewnego niezwykle płaza, zwanego żabą włochatą. Żaby te są koloru czekoladowego i mają tylną część tułowia oraz pulchne uda porośnięte czymś, co wygląda jak gęsta sierść. W rzeczywistości są to długie, nitkowate twory skórne. Wszystkie żaby oddychają nie tylko płucami, ale także — w pewnej mierze — przez skórę. Potrzebują wilgoci, gdyż bez niej ich skóra wysycha i mogą się udusić. Żaby włochate zamieszkują rwące górskie potoki i większość czasu spędzają pod wodą. Nie oddychają płucami tak często jak zwykłe żaby, w związku z tym muszą wykorzystywać znacznie większą powierzchnię skóry do oddychania pod wodą. Dlatego wykształciły sobie „włosy”.

Znalezienie odpowiedniego pomieszczenia dla tych osobliwych żab sprawiło mi wiele kłopotu. Większość żab można trzymać w płaskim pudełku, a przed załadowaniem na statek umieszcza się każdą z osobna w muślinowym woreczku i zawieszają na ścianie obszernej klatki. Siedzą tam zupełnie spokojnie przez całą drogę. Nie potrzebują dużo pokarmu i są zadowolone z życia, jeśli zwilżasz je wodą dwa lub trzy razy dziennie. Tymczasem żaby włochate odznaczają się, oprócz dziwacznej ozdoby na tylnej części ciała, jeszcze jedną niezwykłą cechą. Mięiste palce ich tylnych odnóży zaopatrzone są w długie, ostre pazury, podobne do kocich, które w dodatku chowają się jak u kota. Umieszczona w muślinowym woreczku żaba włochata próbuje skakać; jej pazury zaczepiają o materiał i już po chwili leży na dnie woreczka zaplątana w okropne supły. Uznałem więc, że żaby będą musiały podróżować w klatce.

Wówczas ujawnił się kolejny problem. Potrzebowałem bardzo spłaszczonej klatki, inaczej bowiem wystraszone żaby w szaleńczych podskokach tłukłyby głowami o drucianą górę. Wsadziłem więc żaby włochate do płaskiego drewnianego pudełka z wywierconymi w dnie otworami, przez które po nawilżeniu wypływała woda. Żaby, nie mogąc skakać, nabrały nowego zwyczaju: gdy coś je przestraszyło, umykały w kąt i próbowały zaryć się w drewno. Po kilku dniach zdarły sobie całą skórę z nozdrzy i górnych warg.

U żaby takie otarcia są niezmiernie groźne, ponieważ szybko zmieniają się w rozległe rany, które, jeśli nie są leczone, powodują w końcu zanik nozdrzy i wargi. Leczenie zranionej żaby jest szczególnie trudne, jako że trzeba ją utrzymywać w wilgoci, a w takich warunkach rana goi się trzy razy dłużej. Musiałem więc znaleźć nową klatkę dla żab włochatych, a na dodatek wymyślić jakiś sposób, żeby nie narażając ich na niewygody, wyleczyć im nosy.

Zbudowałem dla nich dużą, płaską klatkę, obitą od wewnątrz cienkim płótnem wypchanym watą, tak iż ściany, dno i góra były jakby wysłane—puchem. Umieściłem żaby w środku i zwilżałem je tylko raz, a nie trzy razy dziennie. Metoda okazała się bardzo skuteczna, gdyż wata wchłaniała wodę, dzięki czemu wewnątrz było dość wilgotno, a jednocześnie nie za mokro. W końcu rany zagoiły się bez śladu i żaby dotarły bezpiecznie do Anglii w swej wyściełanej klatce, w której nie

mogły zrobić sobie krzywdy, ponieważ skacząc lub ryjąc w podłożu, natrafiały na miękką kołderkę z waty.

Rozdział ósmy, w którym nowy Noe odbija od brzegu w swej arce

Chwila, której łowca zwierząt obawia się najbardziej, to ta, kiedy przychodzi mu zapakować pokaźny zwierzyniec do ciężarówek, zawieźć go na wybrzeże, a następnie wyruszyć statkiem w długą drogę do Anglii. Przede wszystkim musi sprawdzić, czy wszystkie klatki są w dobrym stanie i czy wszystkie drzwiczki trzymają mocno. Musi także zaopatrzyć się w zapas żywności na drogę, trudno bowiem oczekiwać nawet na najsympatyczniejszym statku, że kucharz będzie obsługiwał ponad setkę zwierząt.

Oprócz worków pszenicy, ziemniaków, ignamów i innych tropikalnych warzyw należy zgromadzić olbrzymie zapasy owoców. Zakup wyłącznie dojrzałych owoców mija się z celem, ponieważ zgniją już po tygodniu i nie będzie czym karmić zwierząt. Owoce muszą zatem dzielić się na trzy kategorie: dojrzałe, średnio dojrzałe i zupełnie niedojrzałe. Te niedojrzałe powinno się przechowywać razem z mięsem i jajkami w okrętowej chłodni.

W ten sposób mięso i jajka się nie zepsują, a owoce nie dojrzeją przedwcześnie. Zużywszy dojrzałe owoce, można wyjąć z chłodni świeży zapas i położyć na pokładzie, w nasłonecznionym miejscu, gdzie dojrzeją bardzo prędko i będą się nadawały do karmienia zwierząt. Musi się dokładnie obliczać porcje. Jeżeli wyjmie się za dużo naraz, znaczna część ulegnie zepsuciu i trzeba będzie wyrzucić ją za burtę. Z drugiej strony, przy zbyt skąpej ilości może zabraknąć zapasów na przykład w Zatoce Biskajskiej, gdzie obfite i smaczne pożywienie staje się czymś niezbędnym, jeśli zwierzęta mają przetrwać nagłą zmianę klimatu. A zatem, gdy już wiadomo, że z klatkami i zapasami żywności wszystko jest w porządku, można wynająć ciężarówki, które zawiozą ładunek na wybrzeże.

Opuszczając zachodnią Afrykę, zabrałem trzy worki pszenicy i ziemniaków, trzy worki ignamów, dwa worki kukurydzy, pięćdziesiąt ananasów, dwieście pomarańczy, pięćdziesiąt owoców mango i sto pięćdziesiąt wielkich kiści bananów, a ponadto mleko w proszku, sól, tran itp. Do tego doszło czterysta jaj, z których każde należało starannie zanurzyć w wodzie dla sprawdzenia, czy jest świeże, następnie zaś dokładnie natłuścić i włożyć do skrzyni ze słomą. Mięsa miało dostarczyć całe cielę oraz dwadzieścia żywych kurczaków. Razem z ponad stoma pięćdziesięcioma klatkami i sprzętem był to pokaźny ładunek i musiałem wynająć trzy ciężarówki oraz małą półciężarówkę, aby zabrać wszystko na odległe o dwieście mil wybrzeże.

Postanowiłem jechać nocą z kilku powodów, przede wszystkim dlatego, że jest to najchłodniejsza pora dla zwierząt. Jeśli podróżujesz za dnia, masz do wyboru dwa wyjścia: albo przykryć brezentem klatki na ciężarówce — a wówczas zwierzęta będą bliskie uduszenia, albo nie przykrywać — wtedy z kolei będą dławić się kłębami czerwonego kurzu wirującymi z tyłu.

Jechałem więc nocą i przekonałem się, że to najlepsze rozwiązanie.

Niewiele jednak zaznasz snu w trzęsącej się i podskakującej szoferce ciężarówki, wiedząc przy tym, że o świcie będziesz musiał zatrzymać się na poboczu, wyładować w cieniu drzew wszystkie klatki, oczyścić je i nakarmić zwierzęta, zanim sam się trochę prześpisz. A potem nagle zapada zmierzch i robi się ciemno, więc ładujesz klatki z powrotem na ciężarówkę i ruszasz dalej.

Kameruńskie drogi są w tak złym stanie, że nie mogliśmy jechać szybciej niż dwadzieścia pięć mil na godzinę, w związku z czym podróż, która w Anglii trwałaby jeden dzień, zajęła nam trzy doby. Na wybrzeżu okazało się, że załoga statku nie zakończyła jeszcze załadunku, co oznaczało, że musimy poczekać z przenoszeniem zwierząt; a ponieważ rozpętała się ulewa, postanowiłem nie zdejmować klatek z ciężarówek. Zaledwie podjąłem tę decyzję, ciemne chmury się rozproszyły i zaczęło przypiekać słońce, musiałem więc wyładować wszystkie zwierzęta i przebiec nieś je w cień pobliskich drzew. Gdy już się tam znalazły, burzowe chmury ponownie przesłoniły niebo i kilka

minut później wszystkie klatki, sprzęt, zapasy żywności i mnie samego przemoczył do nitki lodowaty deszcz. Na pokładzie statku stwierdziłem, że we wszystkich klatkach kulą się drzące, zmoknięte zwierzaki, musiałem więc zabrać się do roboty i wymienić mokre trociny na suche. Obsypałem także trocinami małpy, w nadziei że to im pomoże osuszyć sierść i uchroni przed przeziębieniem. Następnie przyrządziłem obfite porcje gorącego mleka i napoiłem wszystkie zwierzęta, które mogły je pić. Na szczęście kapiel ta nie miała żadnych złych skutków.

Po pierwszym dniu na morzu powietrze niebywale zaostrza zwierzętom apetyt i małpy, gdyby im pozwolić, jadłyby cztery albo pięć razy więcej niż normalnie. Warto o tym wiedzieć przed podróżą i wziąć to pod uwagę przy zakupie żywności. Oczywiście nie można zabrać ze sobą przysmaków w rodzaju koników polnych i termitów, ale można za to nałapać karaluchów dla bardziej wybrednych ptaków i innych zwierząt, schodząc wieczorem do maszynowni i polując wśród rozgrzanych rur. Po pewnym czasie marynarze bardzo się zapalili do tego sportu i wkrótce nie musieliśmy już łapać tych owadów sami, gdyż dostarczała nam ich regularnie załoga maszynowni.

Parotygodniowa morska podróż może być bardzo przyjemna — pod warunkiem że twój bagaż nie składa się z dużej liczby wiecznie głodnych zwierząt. W takim wypadku musisz pracować równie ciężko jak każdy z marynarzy, a nawet ciężiej. Wstawałem codziennie o wpół do szóstej rano, żeby zdążyć z uprzążaniem klatek przed śniadaniem. Po śniadaniu zaś zabierałem się do karmienia zwierząt i odtąd nie znajdowałem ani chwili dla siebie, dopóki nie wstawiłem wieczornej miski z mlekiem do ostatniej małpiej klatki. W miarę jak statek zbliżał się do Anglii, robiło się coraz zimniej i musiałem stosować dodatkowe środki ostrożności, żeby zwierzęta się nie przeziębily. Cowie—czarna porcja gorącego mleka stała się regułą, a klatki należało starannie przykrywać brezentem i kocami dla osłony przed zimnym wiatrem. Jeżeli morze było wzburzone, musiałem sprawdzać, czy wszystkie klatki są dobrze przymocowane do relingu, bo inaczej mógł się zdarzyć przykry wypadek. W drodze po— wrotnej z zachodniej Afryki zapomniałem o tym i pewnej nocy, karmiąc młode małpki butelką, zauważyłem, że statek zaczyna się gwałtownie kołysać.

Popatrzyłem na rząd klatek ustawionych wzdłuż relingu i doszedłem do wniosku, że gdy tylko skończę karmić małpki, muszę przywiązać klatki; gdyby w nocy pogoda się pogorszyła, mogły się poprzewracać. Załedwie o tym pomyślałem, potężna fala spowodowała nagły przechył statku, a moje pięćdziesiąt klatek zachybotano się i z trzaskiem upadło na pokład drzwiczkami w dół. Zacząłem w pośpiechu stawiać je i przywiązywać, przekonując się z ulgą, że żaden z ich lokatorów nie poniósł uszczerbku — choć małpy były niezmiernie oburzone i długo rozprawiały o tym incydencie.

Gdy podróżujesz ze zwierzyńcem, czekają cię jeszcze inne rozrywki. Wraz z przyjacielem wracaliśmy z Afryki statkiem, którego kapitan — jak nam mówiono — nie przepadał za przewożeniem zwierząt. Dowiedziawszy się o tym, dokładaliśmy, naturalnie, wszelkich starań, by nie robić zamieszania ani kłopotu, jako że rozdrażniony kapitan potrafi bardzo utrudnić życie łowcy i jego zwierzętom. Ale zawsze, kiedy starasz się zachowywać jak najpoprawniej, coś musi pójść na opak.

Pierwszego ranka mój przyjaciel wysypał za burtę z wielkiego kosza brudne trociny wygarnięte z klatek. Nie sprawdził, niestety, w którą stronę wieje wiatr i duży, wirujący kłęb pyłu, który wzbil się w powietrze, osiadł na mostku, gdzie właśnie stał kapitan. Trzeba przyznać, że nasze próby zjednania sobie dowódcy nie zaczęły się zbyt pomyślnie. Przy śniadaniu jednak, choć powitał nas dość chłodno, lody zostały przełamane i w połowie posiłku kapitan odnosił się już do nas całkiem przyjaźnie.

Siedziałem przy stole naprzeciw niego, a za jego plecami znajdował się rząd iluminatorów wychodzących na luk, w którym stały nasze klatki. „Nie obchodzi mnie, co robicie — rzekł do mnie kapitan — pod warunkiem że nie pozwolicie żadnemu zwierzęciu uciec”. „Ależ skąd” —

odparłem i w tej samej chwili zauważyłem, że coś się rusza w iluminatorze tuż za kapitanem. Dostrzegłem ze zgrozą, że jest to duża wiewiórka. Usiadła w otworze i z zadowoleniem obserwowała mesę. Potem wyprostowała się i zaczęła myć sobie pyszczek. Tymczasem kapitan kontynuował posiłek, nieświadom faktu, że o jard od niego siedzi wiewiórka. Zakończywszy toaletę, rozejrzała się i uznała, że warto bliżej zbadać miejsce, w którym na stole jest tyle jedzenia, zerknęła więc w dół, szukając drogi. Kiedy doszła do wniosku, że najszybciej dotrze do przysmaków, skacząc na ramię kapitana, a stamtąd na stół, mruknąłem „przepraszam”, wstałem i wyszedłem z mesy najbardziej niedbałym krokiem, na jaki mogłem się zdobyć. Gdy tylko znalazłem się poza zasięgiem wzroku kapitana, pognałem co sił na pokład. Dopadłem ilumi—natora w chwili, gdy wiewiórka sprężyła się do skoku, i zdążyłem dobiec do niej w samą porę, by złapać ją za wielki, puszysty ogon, zanim wylądowała na ramieniu kapitana. Wpakowałem ją z powrotem do klatki, pyskując z oburzeniem, i westchnąłem z ulgą. Wróciwszy do mesy, przekonałem się, że kapitan na szczęście nic nie zauważył i nie zdawał sobie sprawy, jak niewiele brakowało, by spora wiewiórka skoczyła mu na kark w chwili, gdy posilał się jajkami na bekonie.

Jak zaznaczyłem, staraliśmy się zachowywać najpoprawniej w świecie i pewnie dlatego nic nie szło jak należy. Kilka dni później uciekły z klatek trzy duże jaszczurki, które natychmiast zniknęły wśród wielkich zwojów lin leżących na pokładzie. Ponieważ nie dałoby się tego ruszyć bez pomocy połowy załogi, musieliśmy ograniczyć się do prób chwytania jaszczurek, ilekroć stamtąd wychynęły. Wreszcie po trzech dniach złapaliśmy wszystkie, lecz kosztowało mnie to sporo nerwów, gdyż byłem przekonany, że gady w jakiś sposób dostaną się na mostek i kapitan je zobaczy.

Zaledwie zdążyliśmy umieścić jaszczurki pod kluczem, uciekła jedna z małp. Była zupełnie oswojonym stworzeniem i zazwyczaj przychodziła na wołanie, ale tym razem zanadto ją interesowało zwiedzanie statku i zerknęła tylko przelotnie w naszą stronę, gdy próbowaliśmy zwabić ją do klatki wielką ilością złocistych bananów, której to przynęcie nigdy przedtem nie potrafiła się oprzeć. Tamtego dnia statek mocno kołysał i gdyby nie to, wolę nie myśleć, co mogłoby się stać — małpka bowiem zaczęła wspinać się po drabince na pokład pasażerski. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu, więc zacząłem ją ści—gać, nawołując ochryplym szeptem. Przy każdym przechyle statku traciła chwilowo równowagę, a ja zbliżałem się o kilka stóp, gdyż byłem bardziej przyzwyczajony do kołysania. Małpka dotarła do stóp schodków prowadzących do kajuty kapitana, zobaczyła, że jestem już blisko, zawahała się przez chwilę, a potem pomknęła po schodkach ku uchylonym drzwiom kajuty. Rzuciłem się za nią, choć bez wielkiej nadziei, widziałem już bowiem oczyma duszy, jak ląduje z rozmachem na łóżku, na którym leży kapitan. Na szczęście w chwili, gdy stanęła na ostatnim schodku, nagły przechył statku zrzucił ją o trzy stopnie niżej — a to była szansa, na którą czekałem. Złapałem małpkę za długi, kosmaty ogon i trzymając ją w powietrzu, zbiegłem najszybciej, jak mogłem, na dolny pokład, w obawie że kapitan usłyszy jej gniewne wrzaski i wyjdzie z kajuty sprawdzić, co się dzieje.

Była to w sumie bardzo męcząca podróż i z wielkim zadowoleniem powitaliśmy w końcu szary, dżdżysty poranek, kiedy statek zawinął do portu w Liverpoolu. Na wybrzeżu stały pół—ciężarówki czekające na nasze okazy. Wylądowaliśmy cały zwierzyniec bez żadnych niemiłych przygód, zwierzęta zostały rozdzielone i z mieszanymi uczuciami patrzyliśmy, jak odjeżdżają w deszczu do swych nowych domów w różnych ogrodach zoologicznych Anglii.

Część druga

Pościgi i łowy w Gujanie

Rozdział dziewiąty, w którym mrówkojad Amos zaprasza nas do tańca

Gujana leży w północnej części Ameryki Południowej i niemal dorównuje wielkością Irlandii. Graniczy z rozległym zalesionym obszarem, ciągnącym się nad brzegami Amazonki i przez całą Brazylię. Nazwa „Gujana”, zaczerpnięta z indiańskiego narzecza, oznacza „ziemię płynących wód” — i trudno byłoby znaleźć dla tego kraju trafniejsze określenie. Przecinają go wzdłuż trzy wielkie rzeki, połączone gęstą siecią strumieni i dopływów. W porze deszczowej występują z brzegów, zalewając na całe tygodnie olbrzymie połacie kraju. Przekonaliśmy się, że dzięki temu prawie cała fauna Gujany to doskonali wspinacze i doskonali pływacy. Zwierzęta, które w mniej nawodnionych krajach wiodą naziemny tryb życia, zostały tu zastąpione przez gatunki nadrzewne. Jeżatki afrykańskie w Kamerunie, na przykład, zamieszkują leśne zarośla i znajdują schronienie wśród skał i w jaskiniach, a wspięcie się na drzewo przekracza ich możliwości. W Gujanie natomiast występują nadrzewne gatunki jeżozwierzy o stopach przystosowanych do wspinaczki i długich, bezwłosych, chwytnych ogonach, które — podobnie jak południowoamerykańskim małpom — ułatwiają im wędrówki po gałęziach drzew.

Stwierdziliśmy, że Gujanę można z grubsza podzielić na dwie części. Rozległe połacie lasów ciągną się od wybrzeża w głąb kraju, a następnie przechodzą w szerokie, trawiaste równiny, porośnięte tu i ówdzie kępami krzewów i niewielkimi skupiskami drzew. W Kamerunie wyglądało to bardzo podobnie, a zatem w obydwu krajach gatunki zwierząt zamieszkujące dżunglę różniły się znacznie od gatunków zamieszkujących obszary trawiaste.

Wybrzeże Gujany z trzema potężnymi ujściami rzek przecinają tysiące mniejszych rzeczulek i potoków. Niektóre mają zaledwie kilka stóp szerokości, inne zaś są znacznie szersze niż przeciętna angielska rzeka. Są to najpiękniejsze okolice w Gujanie. Woda, pełna opadłych liści i konarów, ma nasycony czer—wonobrazowy kolor i płynie tak łagodnie, że jej powierzchnia wygląda jak ciemne zwierciadło. Potężne drzewa pochylają nad nią gałęzie osnute długimi pasmami oplątwy brodaczkowa—tej, pnącza podobnego do porostów i wyglądającego jak niezliczone nitki szarej przędzy. Pnie i gałęzie porastają różnobarwne orchidee, niekiedy tak gęsto, że drzewa zdają się wysadzone klejnotami.

Przeważnie powierzchnia rzek przypomina wypolerowane lustro, ale od czasu do czasu można napotkać gruby, zielony dywan wodnych roślin, z którego wyrastają drobne liliowe i żółte kwiatuszki, kołyszące się kilka milimetrów nad wodą. W nasłonecznionych miejscach tuż przy brzegu rosną olbrzymie kępy lilii wodnych o kwiatach wielkości imbryka i płaskich liściach, dorównujących w obwodzie kołu od roweru. Płynąc łodzią po takim zarośniętym potoku, masz wrażenie, że ślizgasz się po zielonym trawniku. Dziób łódki rozgarnia wodną roślinność, która po chwili wraca na dawne miejsce, zakrywając wodę, a zielone fale wznoszą się i opadają za burtą. Po przybyciu do Gujany założyliśmy obóz w stolicy kraju, Georgetown. Mogliśmy tam bez trudu kupować obfite i regularnie dostarczane zapasy żywności dla zwierząt, a ponadto było stamtąd blisko do portu, w którym mieliśmy załadować naszą kolekcję na statek. Z tej bazy zaczęliśmy podejmować wyprawy w głąb kraju, odwiedzając rozmaite rejony i odławiając tamtejszą faunę. Celem pierwszej wyprawy były trawiaste równiny nad rzeką Pomeroun. Wyruszyliśmy z Georgetown, kierując się w górę strumieni ku niewielkiemu indiańskiemu miasteczku o nazwie Santa Maria, ukrytemu w głębi dziwacznej, bagnistej krainy. Niezapomniana ta podróż zajęła nam cały dzień. Łódź sunęła miękko gładkim szlakiem wśród barwnych drzew, a duże czarne dziecięcy ze szkarłatnymi czubami frunęły przodem, wydając przenikliwe okrzyki i przysiadając na spróchniałych pniach powalonych drzew, które dziobały z zapałem. W przybrzeżnych zaroślach gnieździły się stada ptaków nie większych od wróbli, o czarnych tułowiach i jaskrawożółtych łebkach. Mijając zakola, płoszyliśmy czasami ibisy o różowych i purpurowych skrzydłach. Wśród krzewów nad brzegami strumienia roiło się od długoszpónów, przypominających nieco kurki

wodne. Ich najbardziej zdumiewającą cechą były długie, smukłe nogi, zakończone mocnymi, cienkimi palcami. Palce te umożliwiają ptakom wędrówki po roślinnym dywanie, okrywającym wodę, ponieważ długoszpony rozpościerają palce i w ten sposób utrzymują równowagę, krocząc po liściach. Kiedy tak przemierzają wodną podściółkę, wyglądają dość bezbarwnie, lecz gdy wzbiją się w powietrze, ukazują cytrynowożółte plamy pod skrzydłami.

Od czasu do czasu zakłócaliśmy spokój kajmanom drzemiącym na brzegu. Kajman jest południowoamerykańskim odpowiednikiem afrykańskiego krokodyla. Obserwowały nas przez chwilę, unosząc łby i rozdziawiając lekko paszcze, a potem pełzły ociężale ku rzece i z pluskiem zanurzały się w wodzie.

Przybyliśmy do Santa Maria późnym wieczorem, a nazajutrz rano wyruszyliśmy na łowy w towarzystwie miejscowych Indian. Wielu z nich hoduje w domu dzikie zwierzęta z dżungli, które zgodzili się odsprzedać, w związku z czym wzbogaciliśmy się wkrótce o barwne papugi ary, napełniające naszą małą chatkę ogłuszającym wrzaskiem, kilka młodych boa dusicieli oraz parę kapucynek. Zdumiało mnie, że Indianie hodują w domach węże boa, ponieważ myślałem, że podobnie jak Afrykanie boją się tych gadów. Wypytujac o to tubylców, dowiedziałem się, że węże siedzą na krokwiach, pełniac funkcje podobne do tych, jakie u nas przypadają w udziale kotom. Żywią się myszami i szczurami, dają się oswoić i dopóki mają pod dostatkiem gryzoni, nie schodzą nawet na ziemię. Indianie wyjaśnili mi, że boa łapią szczury lepiej niż koty, a ponadto są o wiele piękniejsze, gdy tak falują wśród krokwi niczym barwne, różo—wo—srebrzysto—biało—czarne szale.

W Gujanie występują trzy gatunki mrówkojada. Są to: mrówkojad wielki, mierzący ponad sześć stóp wraz ze swym potężnym, kosmatym ogonem; tamandua, mniej więcej o roz—miarach pekińczyka; oraz mrówkojad karłowaty, osiagający najwyżej osiem cali długości. Te trzy gatunki zamieszkują całkowicie odmienne terytoria i choć czasami wkraczają na inne obszary, przeważnie trzymają się tego, co im najbardziej odpowiada. Mrówkojady wielkie wolą trawiaste równiny na północy, podczas gdy pozostałe dwa gatunki, prowadzące nadrzewny tryb życia, zamieszkują obszary leśne. Tamandua pojawia się nawet w rejonach rolniczych, natomiast za mrówkojadem karłowatym trzeba się zapuścić w głęboką, dziewiczą dżunglę.

Żeby schwytać wielkiego mrówkojada, musiałem przelecieć około dwustu mil w głąb kraju, by dotrzeć do trawiastych równin na północy. Wysiadłem przy odludnym ranczu nad rzeką Rupunun. Tam zapewniłem sobie pomoc nadzwyczaj bystrego indiańskiego łowcy imieniem Francis.

Wyjaśniłem mu, czego szukam, on zaś po długim namyśle oznajmił, że sam uda się na równiny i odnajdzie norę wielkiego mrówkojada. Później obaj wytropimy zwierzę i spróbujemy je schwytać. Zgodziłem się i trzy dni później rozpromieniony Francis pojawił się na ranczu, oznajmiając, że jego poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Odnalazł na równinie niepodważalne ślady obecności mrówkojada w postaci mrowisk rozgrzebanych potężnymi pazurami.

Wczesnym rankiem Francis, mój przyjaciel i ja dosiedliśmy koni i wyruszyliśmy na poszukiwanie mrówkojadów. Złociste trawy, rozciągające się aż po zielonkawoniebieskie góry na widnokręgu, połyskiwały w promieniach słońca, naznaczone tu i ówdzie kępami karłowatych krzewów.

Podczas kilkugodzinnej jazdy widzieliśmy tylko parę krążących wysoko jastrzębi.

Wiedziałem, że w trawach kryją się rozliczne gatunki zwierząt i byłem zdumiony, że podczas jazdy napotykaliliśmy ich tak niewiele. Wkrótce odkryłem przyczynę, gdyż niebawem natknęliśmy się na rozległe zapadlisko ze spokojnym jeziorem pełnym lilii wodnych i okolonym bujnymi zaroślami.

W mgnieniu oka wszystko wokół ożyło. Powietrze zaroilo się od ważek, a barwne jaszczurki przemykały między końskimi kopytami. Zimorodki przycupnęły na gałęziach powalonych drzew, a wśród trzciny i zarośli nad wodą ćwierkały i trzepotały stada drobnego ptactwa. Zauważyłem na drugim brzegu dziesięć za—biru argentyńskich, z których każdy mierzył około czterech stóp,

wpatrujących się z powagą we własne dzioby. Na równinie za jeziorem wszystko ponownie zapadło w bezruch i słyszeliśmy tylko odgłosy kopyt naszych koni, przemierzających wysokie trawy.

Uprzytomniłem sobie, że większość tych trawiastych równin jest bezwodna i dlatego zwierzęta gromadzą się nad jeziorami i stawami, które należało odszukać. Możesz przejechać setki mil, nie widząc ani jednego zwierzęcia, a potem w jakiejś kotlinie znajdziesz staw albo jezioro wręcz kipiące życiem.

Około południa dotarliśmy do miejsca przeznaczenia. Francis wstrzymał konia i oznajmił, że właśnie tutaj mieszka mrówko jad. Dodał, że powinniśmy utworzyć tyralierę i przeczesać trawy, hałasując, ile wlezie, żeby wypłoszyć mrówkojada z jamy. Mogliśmy potem przepędzić go w trawy i pojmać konno. Zanurzyliśmy się zatem w trawę sięgającą koniom po kłęby, krzycząc i hałasując co sił w płucach.

Ziemia pod trawą była spieczona na kamień, pełna szczelin i dziur, przez co konie potykały się często i omal nie zrzuciły nas z grzbietów. Wtem usłyszałem krzyk Francis'a i dostrzegłem mroczny kształt, wirujący w trawie obok kopyt jego konia. Obaj z moim towarzyszem zawróciliśmy z miejsca i pośpieszyliśmy na pomoc. Mrówkojad — którego obecność podejrzewałem — usiłował skryć się w gęstej trawie, lecz zdołaliśmy przepędzić go na otwartą przestrzeń. Mknął naprzód, tupiąc krzepkimi nogami i kołysząc wydłużonym, spiczastym łbem, a nastroszony ogon powiewał za nim jak sztandar.

Ścigaliśmy go co sił w nogach. Wjechałem w gęstą trawę, aby odciąć mu drogę, a Francis z drugiej strony popędzał konia i rozwijał lasso. W końcu dogonił galopującego mrówkojada i zarzucił pętlę. Niestety, źle ocenił rozmiar. Pętla była za duża i mrówkojad po prostu przez nią przebiegł, a następnie pognął po trawie, parszkając i sycząc. Francis wstrzymał konia, zwinął linę i ponownie wyruszył w pościg. Zrównawszy się ze zwierzęciem, ponownie zarzucił lasso. Tym razem udało mu się zacisnąć pętlę na ciele mrówkojada.

Natychmiast zeskoczył z konia, dzierżąc nieugięte koniec liny, podczas gdy rozsierdzony mrówkojad pędził przed siebie, ciągnąc lasso. Ja również zsiadłem i pobiegłem przytrzymać sznur. Mrówko jad odznaczał się zdumiewającą siłą w krótkich łapach i ciągnął nas tam i z powrotem po trawie, aż w końcu byliśmy kompletnie wyczerpani, a sznur otarł nam ręce do krwi. Francis obejrzał się przez ramię i sapnął z ulgą. Dostrzegłem, że w trakcie zmagania zbliżyliśmy się do drzewka mającego około dwunastu stóp wysokości. Było to zresztą jedyne drzewko w promieniu kilkunastu mil.

Spoceni i zadyszani, pociągnęliśmy opierającego się mrówko jada w tamtą stronę, po czym mocno owinęliśmy koniec sznura wokół pnia. Gdy zadzierzgnąłem ostatni węzeł, Francis zerknął w górę i jęknął ze zgrozą. Uniosłem głowę i zobaczyłem okrągłe gniazdo os, mniej więcej wielkości piłki futbolowej, zwisające z gałęzi około dwóch stóp nad nami. Mrówkojad szarpał linę, kołysząc drzewkiem, co bynajmniej nie zachwycało os, które wyroiły się z gniazda, bzyząc gniewnie. Obydwaj z Francisem rzuciliśmy się do ucieczki.

Przywiązawszy (jak nam się zdawało) mrówkojada mocno do drzewa, wróciliśmy do koni po dodatkowy sprzęt: mocny sznurek i duże worki na naszą zdobycz. Znalazłem się ponownie pod drzewem w chwili, gdy mrówkojad wyplątał się właśnie z pętli, otrząsnął jak duży pies i niespiesznie, z godnością podreptał naprzód przez trawy. Zostawiłem Francis'a, który od—wiązywał lasso od drzewa pełnego os, i pobiegłem za mrówko—jadem, wiążąc po drodze pętlę na końcu sznurka.

Spróbowałem zarzucić amatorskie lasso na szyję zwierzęcia, lecz oczywiście chybiłem, nie mając takiej wprawy jak Francis. Mrówkojad kroczył naprzód, a ja podjąłem jeszcze dwie nieudane próby. Nieustannie fruwały wokół niego sznurek zirytował nieco mrówkojada, który zatrzymał

się nagle, obrócił i stanął na tylnych łapach. W tej pozycji jego łeb znalazł się na wysokości mojej klatki piersiowej, ja zaś przyjrzałem się nieufnie potężnym, zakrzywionym, sześciocalowym pazurom jego przednich łap, uniesionych i gotowych do ataku.

Węszył i sapał, kołysząc na boki cienkim, wydłużonym pyskiem i machając łapami jak bokser. Nie chcąc wdawać się w bójkę ze stworzeniem, którego pazury mogły mi wyrządzić poważną krzywdę, postanowiłem zaczekać na Francisa, aby je— den z nas odwrócił uwagę zwierzęcia, podczas gdy drugi spróbuje je złapać. Zaszedłem mrówkojada od tyłu, sprawdzając, czy nie dałoby się go zaskoczyć, on jednak obrócił się niczym bąk, wysuwając groźnie łapy. Usiadłem zatem na ziemi, żeby poczekać na Francisa.

Mrówkojad, zauważywszy przerwę w działaniach wojennych, doszedł do wniosku, że jest to dobra sposobność do naprawienia szkód osobistych, spowodowanych walką z nami. Biegając po równinie z sykiem i prychnieniem, ślinił się obficie, a była to gęsta, lepka ślina, która zwykle pokrywa długi język mrówkojada podczas pobierania pokarmu. Teraz do jej pasm, zwisających z pyska zwierzęcia, przyczepiły się patyki i trawa, zatykając mu w końcu nos. Mrówkojad przysiadł na tylnych łapach i starannie oczyścił pysk pazurami, po czym westchnął głęboko, wstał, otrząsnął się i ruszył ociężale naprzód.

Gdy nadszedł Francis ze swym lassem, ponownie zbliżyliśmy się do mrówkojada, który słysząc nas, przystanął, obrócił się i znowu przysiadł na tylnych łapach, lecz tym razem znalazł się w niekorzystnym położeniu, ponieważ było nas dwóch. Podczas gdy ja odwracałem jego uwagę, Francis podkraść się z tyłu i sprawnie zarzucił łąso. Czując zaciskającą się pętlę, mrówkojad ruszył cwałem i pociągnął za sobą Francisa i mnie. Miotaliśmy się po trawie przez następne pół godziny, dopóki nie spętałimy liną całego tułowia i łap mrówkojada. Następnie skrępowaliśmy go dla pewności jeszcze jednym sznurem i wpakowaliśmy do dużego worka, tak że wystawała tylko głowa i długi nos.

Pogratulowaliśmy sobie zwycięstwa, lecz wkrótce wyłoniła się nowa trudność. Kiedy podeszliśmy do koni, dźwigając worek ze zdobyczą, uznały, że choć nie mają nic przeciw nam, nie zgadzają się nieść worka z jakiś dziwnym stworzeniem, które tak groźnie syczy i prychnie. Przez piętnaście minut bezskutecznie usiłowaliśmy uspokoić nasze wierzchowce. Ilekroć zbliżaliśmy się do nich z mrówkojadem, płoszyły się i cofały, odrzucając łby.

Francis doszedł do wniosku, że mamy tylko jedno wyjście: ja poprowadzę konie, on zaś będzie szedł za mną, niosąc mrówkojada na plecach. Miałem pewne wątpliwości co do powodze— T3 nia tego przedsięwzięcia, ponieważ od rancza dzieliło nas wiele mil, słońce prażyło niemiłosiernie, a mrówkojad ważył swoje. Nic innego nam jednak nie pozostawało, więc dosiadłem konia i ruszyłem, prowadząc za sobą drugiego wierzchowca, podczas gdy Francis podążał za mną chwiejnym krokiem, taszcząc naszą zdobycz. Mrówkojad dokładał wszelkich starań, by utrudnić nam zadanie, i miotał się w worku, przez co bardzo niewygodnie było go nieść. W ciągu godziny przebyliśmy zaledwie parę mil wśród traw, gdyż Francis musiał przystawać co kilkaset jardów, żeby odpocząć.

Stwierdziliśmy wreszcie, że w tym tempie droga powrotna zajmie nam około tygodnia, i Francis zaproponował, aby któryś z nas — ja albo mój towarzysz — czekał i przypilnował mrówkojada, drugi zaś podjechał z nim do stacji, widocznej jako odległa plamka na horyzoncie. Francis zapewnił, że znajdziemy tam coś, co nazwał „bokiem ciągowym”. Z uwagi na kiepską angielszczyznę naszego myśliwego nie zdołaliśmy odgadnąć, co to może być, ale Francis wydawał się przekonany, że tylko w ten sposób wybrniemy z kłopotu. Zostawiliśmy mojego towarzysza z mrowkojadem w cieniu niedużego krzewu i we dwóch pogalopowaliśmy przez równinę.

Zastaliśmy na stacji przemęłego starego Indianina, od którego z wdzięcznością przyjąłem filiżankę kawy. Następnie Francis wyprowadził mnie na zewnątrz i pokazał ów „bok ciągowy”. Był to

pociągowy byk — czyli gatunek bydła, który wykorzystuje się w pewnych rejonach świata jako zwierzęta juczne i zaprzęgowe. Po chwili zjawiała się żona Francisa i usłyszałem, że pojedzie za nami na tymże byku. Drobniutka Indianka wskoczyła na grzbiet olbrzymiego bydłęcia i usadowiła się bokiem. Długie, czarne włosy spływały jej do talii i wyglądała niczym lady Godiva. Zdzieliła byka po zadzie grubym kijem i zwierzę ruszyło naprzód żwawym klusem.

Kiedy wróciliśmy do miejsca postoju, okazało się, że mrówkojad nie zrezygnował z utrudniania nam życia. Udało mu się do połowy wyleźć z worka, który spowijał teraz tylną część jego ciała jak para obszernych spodni, i kluczył wśród traw, ścigany gorączkowo przez mojego przyjaciela. Schwytaliśmy zwierzę, wsadziliśmy je do drugiego worka i związaliśmy jesz— cze staranniej niż przedtem, podczas gdy mój towarzysz relacjonował nam szczegółowo, co przeżył, kiedy nas nie było.

Otóż najpierw jego koń — jak nam się zdawało, bezpiecznie spętany — oddalił się nagle i schwytanie go zajęło memu przyjacielowi sporo czasu. Wróciwszy pod krzak zobaczył, że mrówkojadowi udało się częściowo wyswobodzić z więzów i z worka, który rozdarł pazurami. Mój towarzysz, przestraszony, że zwierzę może uciec, rzucił się naprzód, wepchnął je do worka i ponownie związał. Po chwili rozejrzał się i stwierdził, że koń skorzystał ze sposobności i znowu powędrował w dal. Mój przyjaciel pobiegł łapać wierzchowca, a po powrocie przekonał się, że mrówkojad po raz drugi wylazł z worka. Wówczas właśnie zjawiliśmy się obaj z Francisem. Niedługo później nadjechała żona Francisa i pomogła nam załadować mrówkojada na grzbiet byka. Byk przyjął to z całkowitym spokojem i najwyraźniej było mu wszystko jedno, czy wór na jego grzbiecie jest pełen ziemniaków, czy grzechotników. Choć mrówkojad syczał i szarpał się z całych sił, byk niewzruszenie kroczył naprzód, na nic nie zwracając uwagi.

Dotarliśmy na ranczo tuż po zmroku, wydobyliśmy z worka naszą zdobycz i rozplataliśmy sznury. Uplotłem coś w rodzaju uprzęży i przywiązałem mrówkojada do dużego drzewa. Obok postawiłem miskę z wodą i życzyłem mu dobrej nocy. Nazajutrz wymknąłem się z domu wczesnym rankiem, aby rzucić okiem na mojego mrówkojada, i w pierwszej chwili wydało mi się, że musiał uciec w nocy, ponieważ nigdzie go nie widziałem. Znalazłem go jednak między korzeniami drzewa, gdzie zwinął się w ciasny kłębek i nakrył ogonem niczym dużym, szarym szalem, tak że z pewnej odległości bardziej przypominał kupkę wygasłego popiołu niż mrówkojada. Zrozumiałem wówczas, jak użyteczny musi być dla niego ten wielki ogon. Na równinach mrówkojad wygrzebuje wśród bujnych kęp trawy płytką jamę, zwija się w niej, rozpościera nad sobą ogon niczym daszek — i tylko najgorsza ulewa może przeniknąć przez tę kosmatą osłonę.

Następne moje zadanie polegało na przyzwyczajeniu Amosa — jak go nazwaliśmy — do pożywienia zastępczego, gdyż angielski ogród zoologiczny nie mógł zapewnić mu termitów. Zmie— szalem mleko z surowym jajkiem i drobno posiekaną wołowiną, dodając trzy krople tranu. Napełniłem tą mieszanką dużą miskę, a następnie wygrzebałem dziurę w dużym kopcu termi—tów, który znalazłem niedaleko rancza, nabrałem pełną garść owadów i posypałem nimi mleczną papkę. Zaniósłem miskę Amosowi i postawiłem w jego zasięgu.

Myślałem, że upłynie trochę czasu, zanim Amos przekona się do nowego rodzaju pożywienia, ale ku memu zdumieniu wstał i natychmiast zbliżył się do miski. Powęszył ostrożnie, wysunął długi, węzowaty język i zanurzył go w naczyniu. Potem znieruchomiał na chwilę, oceniając smak, uznał, że mu odpowiada, i przysunął się bliżej, a jego język zaczął śmigać tam i z powrotem z zadziwiającą szybkością, wylizując miskę do czysta. Mrówkojady oczywiście nie mają zębów i do pobierania pokarmu służy im język pokryty lepką śliną. Od czasu do czasu przynosiłem Amosowi specjalny przysmak w postaci miski pełnej termitów, naturalnie wraz z kawałkami ich glinianego mieszkania. Zdumiewający język mrówkojada zanurzał się w naczyniu, wyciągając owady i grudki

gliny przylepione jak muchy do lepu. Gdy jednak język wsuwał się z powrotem do pyska, wargi zwierzęcia strącały glinę, przepuszczając tylko termity i robiąc to nad podziw zreźnie.

Wkrótce po powrocie do obozu w Georgetown, gdy Amos zadomowił się już w nowej zagrodzie, zdobyłem dla niego żonę. Przyjechała związana w bagażniku taksówki i wyglądała jak prychający tobołek. Człowiek, który ją złapał, obszedł się z nią niezbyt delikatnie: miała na ciele kilka brzydkich ran ciętych i była bardzo osłabiona głodem i pragnieniem. Kiedy ją rozwiązałem, leżała dalej na boku, wydając słabe, syczące odgłosy, i pomyślałem, że długo nie pożyje. Przyniosłem jej miskę wody i gdy tylko zaspokoila pragnienie, odżyła w cudowny sposób: zerwała się na nogi i zaczęła atakować kogo popadnie.

Amos, który przywykł do tego, że jest jedynym mrówkoja—dem w obozie, powitał partnerkę niezbyt życzliwie. Gdy otworzyłem drzwiczki i spróbowałem wepchnąć samicę do jego zagrody, wyraził swe ciepłe uczucia, tłukąc ją po nosie pazurza—stą łapą i sycząc wściekle. Postanowiłem umieścić zwierzaki w sąsiednich klatkach, dopóki się ze sobą nie oswoją. Zagroda Amosa była bardzo obszerna, więc po prostu podzieliłem ją na pół, wbijając paliki.

W przeciwieństwie do Amosa, który nie sprawiał żadnego kłopotu, jeśli chodzi o jedzenie, jego małżonka okazała się niesłychanie wybredna. Kategorycznie odmówiła skosztowania mieszanki, którą przyniosłem jej w misce, i przez dwadzieścia cztery godziny prowadziła strajk głodowy. Nazajutrz jednak przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Postawiłem miskę Amosa obok drewnianej przegrody oddzielającej go od samicy. Maniery Amosa przy stole nie należały do na j wytworniej szych i nawet z odległości trzydziestu stóp, nie widząc go, lecz słysząc jego siorbanie, prychanie i posapywa—nie, każdy mógł się domyślić, że właśnie spożywa posiłek. Zaciekawiona odgłosami wydawanymi przez rozkoszującego się śniadaniem Amosa samica podeszła do przegrody, by sprawdzić, co on takiego je. Wsunęła smukły nos między paliki, po—węszyła nad miską, po czym powoli i ostrożnie zanurzyła długi język w mieszance. Już po chwili łykała ją równie szybko i entuzjastycznie jak Amos. Przez następne dwa tygodnie jadła w ten sposób wszystkie posiłki, wsuwając głowę między paliki i dzieląc miskę z Amosem.

W końcu, korzystając stale z tego samego naczynia, zwierzęta przywykły do siebie i wkrótce mogliśmy usunąć przegrodę, pozwalając im mieszkać razem. Bardzo się polubiły i zawsze sypiały przytulone do siebie, przykrywając się starannie ogonami. Drogę do Anglii musiały jednak odbyć w osobnych klatkach, ponieważ nie mogłem zdobyć jednej wystarczająco obszernej, by pomieściła oboje. Na statku ustawiłem ich klatki blisko siebie, żeby zwierzęta mogły wysuwać nosy i obwąchiwać się nawzajem.

Kiedy znalazły się w jednym z angielskich ogrodów zoologicznych, bawiły odwiedzających, urządzając mecze bokserskie. Stawały na tylnych łapach, ich długie nosy kołysały się niczym wahadła, ogony zamiatały ziemię, a groźnie wyglądające pazury zadawały potężne ciosy. Walki te sprawiały wrażenie dzikich i zajadłych, lecz żadne ze zwierząt nigdy nie zraniło drugiego.

Nieco mniejszym gatunkiem mrówkojada występującym w Gujanie jest leśna tamandua. Wyglądem przypomina nieco mrówkojada wielkiego: ma taki sam wydłużony pysk, małe paciorko—wate oczy i mocne przednie łapy z potężnymi, zakrzywionym pazurami. Jej sierść jest krótka i jasnobrunatna, a ogon długi i wygięty. Tamandua nie może przykrywać się ogonem, tak jak to robi mrówkojad wielki, lecz używa go podczas wędrówki po drzewach, podobnie jak afrykańskie łuskowce lub małpy żyjące w Gujanie. Mrówkojady te okazały się najgłupszymi stworzeniami, jakie schwytałyśmy w tym kraju.

Na swobodzie wdrapują się na wysokie drzewa i wędrują po gałęziach, dopóki nie napotkają dużego gniazda leśnych mrówek. Rozpruwają tę fortecę potężnymi pazurami i zlizują mrówki długim, lepkiem językiem. Co pewien czas burzą następną część mrowiska i kontynuują posiłek. W niewoli trudno im wyzbyć się tego nawyku i gdy dostają miskę z siekanym mięsem, surowym

jajkiem i mlekiem, zanurzają w niej pazury, oblizują je i znowu grzebią łapą w misce. Kończy się to zazwyczaj wywróceniem naczynia. Wyobrażają sobie, że jest ono czymś w rodzaju mrowiska, które należy rozgrzebać, by dostać się do zawartości, musiałem więc przywiązywać miski drutem, żeby zapobiec rozmazywaniu jedzenia po całej klatce.

Pierwszego mrówkojadka, czyli mrówkojada karłowatego, nabyłem w indiańskiej wiosce na rzecznej wysepce. Przez cały dzień płynąłem łodzią, odwiedzając rozmaite osady i kupując zwierzęta. W tej wiosce mój zwierzyniec znacznie się powiększył i spędziłem interesującą godzinę na targowaniu się z tubylcami. Musiało się to odbywać na migi, gdyż oni nie znali angielskiego, ja zaś nie znałem ich języka.

W pewnej chwili przez otaczający mnie tłum przepchnął się mniej więcej siedmioletni chłopiec z długim kijem, przy którego końcu znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka wziąłem za olbrzymią poczwarkę jednego z wielkich leśnych motyli. Przyjrzawszy się bliżej, stwierdziłem, że jest to mrówkojad karłowaty, który przywarł do gałęzi, zaciskając mocno ślepka. Kupiłem go od chłopca i przekonałem się, że to małe zwierzęt— ko posiada wiele ciekawych cech, niewymienionych w żadnej książce przyrodniczej.

Mrówkojadki mierzą około sześciu cali długości i całe są porośnięte gęstą, miękką, złotobrazową sierścią, upodabniającą je do miniaturowych pluszowych misiów. Długi, chwytny ogon jest również pokryty sierścią. Jasnoróżowe podeszwy tylnych łap są lekko wklęsłe, dzięki czemu dopasowują się do gałązek i umożliwiają mrówkojadkom doskonały chwyt. Kiedy zwierzątko trzyma się gałęzi tylnymi łapami i ogonem, nie można go od niej oderwać bez wyrządzenia mu poważnej krzywdy. Podobnie jak jego krewniacy, ma krótkie i mocne przednie łapy, uzbrojone w trzy zagięte pazury — najdłuższy pośrodku, dwa krótkie po bokach. Wnętrze łapy przypomina różową podu—szeczkę, w którą pazury zagłębiają się z zadziwiającą siłą, niczym ostrza składanego scyzoryka.

Te nieduże stworzenia mają bardzo osobliwy zwyczaj, dzięki któremu zyskały wśród tubylców nazwę „Bogudzięki”. Przysiadają do snu na gałęzi, wczepiając się w nią mocno tylnymi łapami i zahaczając ogonem, i tkwią wyprostowane jak na warcie z przednimi łapami wzniesionymi ku niebu. Zaniepokojony mrówkojadek spada z góry na wroga, szarpiąc go pazurami. Przyjmuje tę dziwną pozę także wówczas, gdy jest wystraszony, i potrafi siedzieć przez pół godziny z łapkami uniesionymi wysoko nad głową i zamkniętymi oczyma, czekając na sposobność do ataku.

Mój mrówkojadek wydawał się tak ospały i pogodzony z losem, że nawet nie wsadziłem go do klatki, tylko oparłem o dziób łodzi gałąź, na której siedział sztywno wyprostowany, niczym figura dziobowa dawnego okrętu, i nie poruszył się aż do samego obozu. Nie byłem pewien, co dać małemu stworzonku do jedzenia, choć wiedziałem z książek, że żywi się nektarem rozmaitych leśnych kwiatów. Pierwszego wieczoru zmieszałem trochę miodu z wodą i powiesiłem miseczkę w klatce.

Około ósmej mrówkojadek zaczął dawać pierwsze oznaki życia. Opuścił przednie łapy i powoli, ostrożnie wpełzł między gałęzie, poruszając się jak staruszek na śliskiej drodze. W pewnej chwili odkrył naczynie z miodem. Zawisł tuż pod nim i ob—wachał je dokładnie, przybliżając doń krótki, różowy nos, po

TO czym doszedł do wniosku, że może się tam kryć coś jadalnego. Zanim zdążyłem go powstrzymać, zaczepił pazur o brzeg miseczki i przechylił ją, a w następnej sekundzie ociekał już miodem i wodą. Był tym niesłychanie oburzony i rozzłościł się jeszcze bardziej, kiedy wyjąłem go z klatki i wytarłem kłębkami waty. Resztę wieczoru przesiedział na gałęzi, czyszcząc futerko z lepkich śladów. Miód z wodą bardzo mu smakował, ale musiałem znaleźć naczynie mocno zwięzające się ku górze, gdyż inaczej wsadzał cały łebek do środka, a potem wędrował po dnie klatki i rano wyglądał jak ruchoma kula ulepiona z trocin.

Miód z wodą nie był jednak pokarmem dostatecznie pożywnym, dlatego spróbowałem podsunąć zwierzątku trochę mrówczych jaj. Ku memu zdziwieniu, nie chciał ich tknąć; przyniosłem mu więc mrówki, którymi wydawał się jeszcze mniej zainteresowany niż jajkami. W końcu za sprawą przypadku odkryłem, że lubi ćmy i koniki polne, które wieczorami ściągają po klatce z wielkim zapalem.

Z pewnością niełatwo jest hodować w niewoli mrówkojady z Gujany, są to jednak fascynujące stworzenia i warto zadać sobie dla nich nieco trudu.

Rozdział dziesiąty, w którym opisuję ropuchy z kieszeniami i inne dziwolągi

Miasteczko Santa Maria z wszystkich stron otaczały rzeczki, więc, praktycznie rzecz biorąc, mieszkaliśmy na wyspie. W rzeczkach tych, jak się przekonałem, żyły całe stada małych kajmanów, i bardzo mi zależało, by nałapać ich jak najwięcej. Wkrótce okazało się, że to nie takie proste jak łowienie krokodyli w Kamerunie. Tam brodzisz w płytkich strumieniach i chwytasz gady na piaszczystych lawach. Rzeczki wokół Santa Maria były o wiele za głębokie, a ponadto oprócz kajmanów zamieszkiwały je jeszcze inne stworzenia, takie jak węgorze elektryczne oraz złośliwe i krwiożercze ryby, zwane piraniami, w których towarzystwie kąpiel nie byłaby zbyt przyjemna. Musiałem zatem dostosować metody łowieckie do kraju, w którym się znalazłem. Pewnej nocy wyruszyliśmy w dół rzeczki dużą łodzią, zabierając silną latarkę i długi kij ze sznurem zakończonym samoza—ciskającą się pętlą. Siedziałem na dziobie z latarką i kijem, a wiosłarz na rufie powoli i łagodnie popychał łódź po ciemnej toni. Wkrótce zauważyłem, że małe kajmany najczęściej wybierają miejsca gęsto pokryte wodną roślinnością, wystawiając z nich tylko nosy i wyłupiaste oczy. Sunęliśmy miękko naprzód, a ja omiatałem światłem latarki splechietki roślinności — aż wreszcie jakieś trzydzieści jardów dalej dostrzegłem żarzące się oczy kajmana. Dając wiosłarzowi znaki wolną ręką, skierowałem go w tamtą stronę, a gdy zbliżyliśmy się do splechietki, nakazałem zatrzymać łódź.

Świecąc stworzeniu prosto w oczy, pochyliłem się, delikatnie opuściłem pętlę, otaczając jego szyję, a potem nagłym szarpnięciem wyciągnąłem go z wody na łódź, gdzie zaczął się miotać, wydając głośne, pełne oburzenia, chrapliwe pomruki. Za ledwie inne małe kajmany usłyszały te protesty, wszędzie wokół rozległy się w odpowiedzi współczujące mruknięcia — co było postępowaniem niezbyt roztropnym, gdyż nasłuchując, mogłem się zorientować, w którym miejscu kryje się najwięcej małych gadów, i niebawem na dnie łodzi leżał wypchany, ruszający się worek. Maluchy tak bardzo hałasowały, że nie mogliśmy już dalej płynąć; cała okolica słyszała dobiegający z łodzi chóralny pomruk kajmanów.

Do najosobliwszych mieszkańców tego wodnego świata należy grzbietoród amerykański. Jest to chyba jeden z najniezwyklej—szych płazów na świecie, ponieważ można go określić całkiem dosłownie jako ropuchę z kieszeniami. Schwytałem kilka tych dziwnych stworzeń w niewielkim, zasypanym liśćmi strumyku, który łączył się z większą rzeczką. Płazy te wyglądają zupełnie tak samo jak rozkładające się liście, dlatego na pierwszy rzut oka nie mogłem odróżnić ich od otoczenia. Mają około pięciu cali długości i przypominają spłaszczone, brunatne latawce z nogą w każdym rogu. Gdy je zbierałem, nie pluły i nie stawiały oporu, jak większość żab i ropuch, tylko leżały bezwładnie, wierząc, że pomogą im barwy ochronne.

Wśród złapanych okazów znalazła się zapłodniona samica, co mnie szczególnie uradowało, gdyż dzięki temu mogłem obserwować niezwykle proces wykluwania się potomstwa. Kiedy samica składa jaja, samiec wciska je w miękką i gąbczastą skórę na jej grzbiecie. Początkowo jaja wyglądają jak przejrzyste paciorki, zagłębione do połowy w brunatnej skórze. Stopniowo wystające części jaj twardnieją i wytwarzają maleńkie, wypukłe wieczka, podczas gdy reszta tkwi w kieszeniach na grzbiecie matki. Powoli wykluwają się z nich kijanki, które następnie przybierają postać ropuszek — tak małych, że na znaczku pocztowym zmieściłoby się ich co najmniej sześć.

Gdy maleństwa zaczynają się wykluwać, brzeg jajka wystający nad powierzchnię skóry matki mięknie i ropuszki podnoszą wieczka niczym kłapy w podłodze, a potem z wysiłkiem wydobywają się ze swych osobliwych bunkrów — czy raczej kolebek — na grzbiecie matki.

Duża samica, którą schwytałem w potoku, zamieszkała w pojemnej metalowej puszcze i spoczywała nieruchomo na powierzchni wody. Wyglądała tak, jakby od wielu dni była martwa, a nawet zaczynała się rozkładać. Obserwowałem twardniejące wieczka i cierpliwie czekałem na pojawienie się małych. Zwlekały z przyjściem na świat aż do chwili, gdy znalazłem się na środku Oceanu Atlantyckiego w drodze powrotnej do Anglii, i wybrały najbardziej niezręczną z możliwych sytuacji.

Około północy, kiedy skończyłem pracę i zamierzałem wrócić do kajuty, zerknąłem przed zgaszeniem światła na samicę grzbietoroda i zauważyłem dziwny, ciemny pałak, sterczący z jej grzbietu. Przy bliższym badaniu stwierdziłem, że jedno z wieczek puściło, a ów ciemny pałak to łapka dziecka, które próbuje się wydostać. Po chwili maleństwo zdołało wysunąć drugą łapkę, a potem łebek. Wahało się przez chwilę i rozglądało po świecie niczym miniaturowy, upačkany robotnik, wylaniający się z kanału.

Wypełzanie z jamy zajęło stworzonku kilka minut. Wyczerpane tym wysiłkiem, przeleżało dłuższą chwilę na grzbiecie matki, po czym zsunęło się do wody i zaczęło dziarsko pływać w kółko. Czekałem cierpliwie i po pewnym czasie następną maleńka łapka wypchnęła wieczko, machając do mnie na powitanie. ,

Gdy tak siedziałem w kucki przy pojemniku, pochłonięty i zafascynowany niezwykłym widokiem, tuż obok przystanęli dwaj marynarze, którzy schodząc z wachty, zauważyli światło w ładowni i zajrzeli, by sprawdzić, czy nie mogą w czymś pomóc. Z pewnym zdziwieniem zobaczyli, że pochylałem się nad blaszaną puszką, i spytali, co się dzieje. Opowiedziałem im o samicy grzbietoroda amerykańskiego, schwytej wśród tajemniczych wodnych obszarów, i wyjaśniłem, że dzieci właśnie wykluwają się z jej grzbietu. Marynarze przykucnęli obok, obserwując narodziny kolejnego malucha, i po chwili wpatrywali się w samicę z fascynacją dorównującą mojej.

Wkrótce dołączyli do nas inni członkowie załogi, zaniepokojeni nieobecnością kolegów. Powtórzyłem opowieść o ropusze z kieszeniami i zaciekawieni marynarze przysiedli wokół pojemnika, by przyjrzeć się wykluwaniu młodych. Gdy jedno z nich, słabsze niż reszta, długo nie mogło wydostać się z matczynej kieszeni, zatroskani marynarze zaczęli wypytywać, czy nie dałoby się mu pomóc, wsuwając zapalkę. Wyjaśniłem, że dla takiego maleństwa zapalka jest gruba jak pień drzewa i mogłaby połamać kruche, nitkowate kończyny stworzonka nawet przy zachowaniu największej ostrożności.

Kiedy wreszcie malutki grzbietoród wydostał się ze swej kolebki i legł, wyzuty z sił, na grzbiecie matki, wszyscy odetchnęli z ulgą. Zaczynało już świtać, gdy ostatnia ropuszka zanurzyła się w wodzie, a my rozprostowaliśmy skurezone kończyny i udaliśmy się do kuchni, by wyżebrać filiżankę herbaty. Przez cały dzień ziewaliśmy przy robocie, lecz mimo to zgodnie uznaliśmy, że warto było przesiedzieć całą noc, obserwując narodziny małych grzbietorodów.

Grzbietoród amerykański nie był, rzecz jasna, jedynym niezwykłym płazem zamieszkującym tę wodną krainę. Gujana wręcz obfituje w niezwykle płazy. Oprócz grzbietoroda najosobliwszym z nich jest chyba żaba dziwaczka, zwana również żabą arlekinem. Natknęliśmy się na nią pewnej nocy, gdy razem z przyjacielem brodziliśmy w płytkim potoku, szukając okazów. W pewnej chwili mój towarzysz oznajmił, że złowił jakieś przedziwne stworzenie. Wyglądało jak kijanka, lecz mierzyło około sześciu cali, a jego tułów dorównywał wielkością kurzemu jajku. Sprzecaliśmy się długo nad tym osobliwym stworzeniem; mój przyjaciel upierał się, że jest to jakiś gatunek ryby,

gdyż z kijanki tej wielkości musiałyby wyrosnąć żaba gigant, ja zaś byłem pewien, że jest to kijanka. Spieraliśmy się przez dłuższą chwilę, zanim przypomniałem sobie, że znam z książek tego dziwnego płaza i zrozumiałem, iż złapaliśmy kijankę żaby dziwaczki.

Żaba dziwaczka rozwija się inaczej niż normalne żaby. U zwykłych żab ze skrzeku wykluwają się małe kijanki, które później rosną, wykształcają kończyny, pozbywają się ogona i wychodzą na ląd jako żabki średniej wielkości. Tymczasem żaba dziwaczka podlega najosobliwszemu przeobrażeniu, gdyż jej kijanka jest znacznie większa niż dorosły osobnik.

Innym ciekawym gatunkiem występującym w Ameryce Południowej jest rzekotka torbowa, czyli torbowka. Nieduże to stworzonko troszczy się o swoje małe w sposób niemal równie niezwykły jak grzbietoród. Wzdłuż grzbietu samicy biegnie szczelina, która otwiera się jak kieszeń — w niej mieszczą się zapłodnione jaja. Samica chwilowo o nich zapomina, a tymczasem z jaj wykluwają się kijanki, które tracą ogony i zyskują łapki. Gdy są gotowe do wyjścia, szczelina na grzbiecie matki zaczyna się rozchyłać i wyskakują z niej maluchy niewiele większe niż supełek na nitce.

Do najmniejszych, a zarazem najciekawszych płazów schwytanych w Gujanie należały drzewołazy. Były to niewielkie żabki, mierzące około półtora cala i mieniające się wszystkimi barwami tęczy. Istnieje kilkanaście gatunków tych płazów: w złocisto—czerwone pasy na kremowym tle, różowo—niebieskie na czarnym tle i tak dalej. Są śliczne i w słoiku przypominają raczej karmelki w kolorowych opakowaniach niż żywe stworzenia. Dla Indian drzewołazy są bardzo użyteczne. Umieszczone blisko ognia, wydzielają śluz, który tubylcy zbierają i przechowują. Spreparowany specjalną metodą śluz drzewołazów staje się silną trucizną i Indianie maczają w nim groty strzał. Trucizna ta szybko uśmierca zwierzęta nawet tak duże i silne jak dzika świnia. Dla tubylców każda z tych żabek jest miniaturową fabryczką i ilekroć potrzebują trucizny, idą do lasu, by nazbierać odpowiednio dużo drzewołazów.

Rozdział jedenasty, w którym czubacz Cuthbert sprawia kłopoty

Jednym z najsympatyczniejszych, choć jednocześnie irytujących okazów zakupionych w Gujanie był Cuthbert, czubacz kędzierzawy. Nabyłem go podczas podróży w głąb wodnej krainy i od razu zaczął sprawiać mi kłopoty. Ptaki te są wielkości indyka, mają smoliście czarne upierzenie i jaskrawożółte nogi i dzioby. Pióra na czubku głowy sterczą jak lekko zaokrąglony grzebień, a w dużych ciemnych oczach tli się płomień szaleństwa.

Cuthbert przybył do naszego obozu w towarzystwie właściciela, pulchnego i nieśmiałego Chińczyka. Gdy kupowałem ptaka, Chińczyk pochylił się i umieścił go tuż koło moich stóp. Cuthbert postął tam przez chwilę, mrugając i krzykując żałośnie „pit—pit—pit”, co zupełnie nie pasowało do tak dużego i groźnie wyglądającego ptaka. Schyliłem się i podrapałem go po czubie, a Cuthbert natychmiast zamknął oczy i osunął się na ziemię, trzepocząc skrzydłami z rozkoszy i gruchając z głębi gardła.

Chińczyk zapewnił mnie, że ptak jest zupełnie oswojony i nie muszę zamykać go w klatce, gdyż nie ma zamiaru uciekać. Ponieważ Cuthbert wyraźnie mnie polubił, uznałem, że jego właściciel ma zapewne słuszość. Gdy jednak przestałem drapać ptaka po głowie, wstał i ruszył za mną, popiskując groteskowo. Popęzł naprzód, a następnie położył się na moich butach, zamknął oczy i zaczął gruchać. Był tak łagodny i uległy, że natychmiast nadałem mu imię Cuthbert, uznawszy, iż tylko to do niego pasuje.

Tego samego wieczoru siedziałem przy stoliku i usiłowałem uzupełnić dziennik. Cuthbert, który przechadzał się w zadumie po izbie, doszedł do wniosku, że najwyższy czas okazać mi nieco uczucia. Machając mocno skrzydłami, wzbil się na stół, przemaszerował po nim pitpitając z zadowoleniem i usiłował ułożyć się na kartkach, które zapisywałem. Odepchnąłem go gniewnie, a gdy odstał o krok w tył, spoglądając na mnie ze zdumieniem i urazą, jego wielka kurakowata łapa przewróciła kałamarz, który zalał oczywiście moje notatki i musiałem przepisać dwie strony.

Cuthbert tymczasem pchał się na moje kolana, z których spędzałem go energicznie. Odczepił się wreszcie i zastygł w głębokiej zadumie. W końcu uznał, że powolnością nic nie wskóra i powinien wziąć mnie z zaskoczenia. Przyciął się, a gdy spojrzałem w inną stronę, poderwał się, usiłując wylądować na moim ramieniu. Chybił, oczywiście, i z rozpostartymi skrzydłami wpadł na stół, wydając okrzyki przerażenia i po raz drugi przewracając kałamarz. Skarciłem Cuthberta surowo, on zaś wycofał się do kąta i przysiadł tam nadąsany.

Wkrótce wszedł do chaty mój towarzysz, by — jak co wieczór — zawiesić hamaki, w których sypialiśmy. Gdy wyciągnął je z kąta i zaczął rozplątywać, Cuthbert doszedł do wniosku, że skoro ja nie zwracam na niego uwagi, może zauważy go mój partner. Podkraść się więc od tyłu do jego stóp, legł na podłodze i zamknął oczy.

Zmagając się ze sznurami, mój przyjaciel cofnął się o krok i nadepnął niechcący na ptaka. Cuthbert zaskrzeczał przerażony i ponownie wycofał się do swego kąta. Gdy uznał, że wykonywana czynność całkowicie zaprzęta uwagę mego towarzysza, podkraść się znowu i ułożył na jego butach. W chwilę później usłyszałem trzask i mój przyjaciel legł na podłodze wraz z hamakami, a spomiędzy płataniny moskitier, sznurów i płótna wystawała głowa Cuthberta, który skrzeczał z oburzeniem, wyrażając sprzeciw wobec tak grubiańskiego zachowania. Uznałem, że narobił dość zamieszania jak na jeden wieczór, i zamknąłem go wraz z innymi zwierzętami, przywiązując za nogę do ciężkiego pudła. Pozostał tam, wydając hałaśliwe piski.

Późną nocą, gdy już spaliśmy w hamakach, obudził mnie przeraźliwy jazgot dobiegający od strony klatek. Wskoczyłem z hamaka, złapałem małą latarnię, którą zawsze stawiałem pod ręką na wszelki wypadek, i pobiegłem sprawdzić, co się dzieje. Zobaczyłem Cuthberta siedzącego na podłodze; wydawał się niesłychanie zirytowany i popiskiwał głośno do siebie. Najwyraźniej dokonał przeglądu klatek i doszedł do wniosku, że do celów noclegowych nadaje się wyłącznie ta z małpkami sajmi—ri. Podfrunął więc na górę klatki i zaczął mościć się do snu. Niestety, nie zauważył, że jego ogon zwisa przed drzwiczkami i małpki widzą go wyraźnie w świetle księżyca. Zaintrygowane, wysunęły łapki zza prętów, żeby pomacać ów dziwny obiekt i sprawdzić, co to takiego. Gdy Cuthbert poczuł, że coś dotyka jego ogona, pomyślał, iż atakuje go jakiś potwór — i wystrzelił w górę niczym rakietą, pozostawiając w mocno zaciśniętych łapkach małp dwa długie pióra. Kojenie jego zranionych uczuć i przygotowanie odpowiedniego miejsca do spania, w którym nie obawiały się zdradzieckich ataków, zajęło mi sporo czasu.

Po powrocie do bazy wypadowej w Georgetown pozwoliłem Cuthbertowi hasać po dużym ogrodzie, w którym trzymałem zwierzęta. Nieustannie wywoływał zamieszanie, padając radośnie na nogi ludziom, którzy się tego zupełnie nie spodziewali. Teren otoczony był wysokim ogrodzeniem z falistej blachy, stanowiącym dla Cuthberta przeszkodę nie do pokonania. Niemniej Cuthbert nabrał pewności, że jeśli się postara, zdoła w końcu przefrunąć na drugą stronę, i codziennie podejmował próby. Oddalał się o dziesięć jardów, zawracał i pędził w stronę ogrodzenia, trzepocząc zawzięcie skrzydłami, aż w końcu jego ociężyły tułów wzbijał się w powietrze i dziarsko pomykał na spotkanie przeszkody.

Nigdy jednak nie udało mu się wlecieć dostatecznie wysoko i nie opanował sztuki zawracania w powietrzu, dlatego zawsze leciał prosto na ogrodzenie; i gdy wiedział już, że zderzenie jest nieuniknione, skrzeczał głośno — jak gdyby chciał ostrzec przeszkodę, by usunęła się z drogi. Po chwili słychać było gromki trzask i Cuthbert zsuwał się po blasze z mrozącym krew w żyłach zgrzytem pazurów, rozpostartych szeroko w poszukiwaniu oparcia. Ponieważ nie wyrządzał żadnej szkody ani co sobie, ani ogrodzeniu, a zabawa sprawiała mu przyjemność, zostawiłem go w spokoju.

Pewnego dnia podczas swych zwykłych zmagañ Cuthbert odkrył z radością, że ktoś zostawił drabinę przy ogrodzeniu. Zanim zauważyłem, co się dzieje, siedział już na najwyższym szczeblu i był z siebie bardzo dumny. Gdy zacząłem wspinać się po drabinie, aby go złapać, zatrzepotał skrzydłami i sfrunął na drogę. Tam dokonał pośpiesznej toalety, a następnie udał się powolnym krokiem w stronę placu targowego. Zwołałem szybko grupę pomocników i ruszyliśmy w pogoń za niesfornym Cuthbertem. Obejrzał się przez ramię, zobaczył nas i runął naprzód co sił w nogach. Goniliśmy go wokół placu, wspierani przez połowę straganiarzy i większość klientów, lecz dopiero po półgodzinnym pościgu zdołaliśmy zapędzić go w kąt i schwytać. Piszczął przenikliwie, gdy nieśliśmy go z powrotem do ogrodu.

Wiele rozrywki dostarczały nam również duże, barwne papugi ary. Kupowałem je od tubylców, którzy hodowali je w domach, więc były to zawsze oswojone ptaki. Z niewiadomych przyczyn wszystkie papugi w Gujanie mają na imię Robert; podobnie w Anglii nazywa się je Polly. Kupując arę, byłem zawsze pewien, że potrafi wymówić swoje imię, choć poza tym darła się jak syrena fabryczna. Mieliśmy osiem takich papug i wiodły one ze sobą długie, przezabawne rozmowy, używając tylko jednego słowa: „Robert”. „Robert?” padało pytanie i natychmiast któraś z papug odpowiadała: „Robert, Robert, Robert”. Inna zaś mówiła „R—r—r—robert” — i wszystkie powtarzały to samo, przechylając łebki z tak mądrym wyrazem oczu, że niemal wierzyłem w głębsze znaczenie tej banalnej wymiany zdań.

Pewna para papug nie tolerowała klatki, gdyż obie przywykły do swobodnego latania po domu. W Georgetown pozwalałem im wędrować po ogrodzie, lecz podróż do Anglii musiały odbyć w zamknięciu. Zbudowałem dla nich bardzo porządną klatkę, zabezpieczoną mocną drucianą siatką, lecz zapomniałem, że potężne dzioby tych ptaków mogą przebić każde drewno. Papugi załatwiły się z drzwiczkami klatki w trzy dni; cały przód wypadł z trzaskiem na zewnątrz. Trzykrotnie mocowa—

łem drzwiczki i wpychałem rozzłoszczone ary do klatki, i trzykrotnie papugi obracały wniwecz moje wysiłki, uciekając z więzienia. W końcu dałem za wygraną i pozwoliłem im wędrować po ładowni. Spacerowały bez pośpiechu po dachach klatek i zagadywały do mnie lub do swych towarzyszy w swoim „ro—bercim” języku.

Rozdział dwunasty, w którym spotykam wiele nowych zwierząt, między innymi księżycowego skoczka

Do najzabawniejszych stworzeń zamieszkujących Gujanę należy jeżozwierz nadrzewny. Jest to nieduże, tłuste stworzenie, porośnięte czarno—białymi kolcami, o długim, bezwłosym ogonie, którego używa podczas wspinaczki. Ma grube, płaskie tylne łapy, wielki, nabrzmiały, rozkołysany nos i krągłe ślepka, podobne do wypukłych guzików. Gdyby nie groteskowy wygląd tych zwierząt i ich zachowanie, można by im współczuć —ponieważ cokolwiek robiły, zawsze miały dobre chęci, wszystko je intrygowało i z wielkim zaskoczeniem przyjmowały wszelkie niepowodzenia. Kiedy na przykład podsunęło się jednemu z nich cztery banany, usiłował pożreć wszystkie naraz. Po kilku próbach dochodził do wniosku, że nie zmieszczą mu się w pysku, przysiadł zatem, wymachując nosem i zastanawiając się, co robić dalej. Brał jednego banana do pyska i po jednym do każdej łapy, a następnie ku swej zgrozie dostrzegał jeszcze jeden owoc leżący na ziemi. Upuszczał wówczas banana trzymanego w pysku i podnosił tego, który leżał na ziemi. Następnie zauważał, że nie pozbiarał wszystkich, więc odkładał na bok swoje brzemię i znowu siadał, pograżony w zadumie. Po mniej więcej półgodzinnym rozmyślaniu wpadał na genialny pomysł: zjadał jednego banana, a trzy pozostałe tryumfalnie zabierał z sobą.

Jeżozwierze te wszczynały zdumiewające walki bokserskie. Wspinały się parami na najwyższe gałęzie w klatce i rozsiadały wygodnie, wpatrując się w siebie i dla bezpieczeństwa mocno opasując gałęzie ogonami. Następował skok, wymiana ciosów, kilka haków, parę prostych, nosy

kołysały się na boki, a okną— głę ślepka nabierały łagodnego i dość zatroskanego wyrazu. Zdumiewające było to, że choć, jeżozwierze walczyły tak przez pół godziny, żaden nawet nie drasnął drugiego.

Czasami po takiej próbie sił zabawiały się zonglerką. Chwytały pestki owoców mango lub coś podobnego, przysiadaly na zadkach i zaczynały przerzucać pestki z łapy do łapy w niezdatny sposób, jakby miały je lada chwila upuścić — lecz to się nigdy nie zdarzyło. Przywozili mi na myśl smutnych cyrkowych klaunów o płaskich stopach, którzy nieustannie popadają w kłopoty albo z niezmierną powagą na obliczach wyczyniają zabawne sztuczki.

Wśród wielu osobliwych stworzeń można napotkać w Gujanie największego na świecie gryzonia: kapibarę. Zwierzęta te przypominają gigantyczne świnki morskie; osiągają rozmiary sporego psa i mogą ważyć nawet pięćdziesiąt kilogramów. Dochodzą do czterech stóp długości i około dwóch stóp wysokości w kłębie. Spróbujcie je porównać z polną myszą, która mierzy cztery i pół cala wraz z ogonem i waży około dziesięciu gramów. Widząc te dwa stworzenia razem, nigdy byście nie uwierzyli, że są spokrewnione.

Pierwszą kapibarę nabyłem wkrótce po przyjeździe do Geor—getown; jak się okazało, nastąpiło to zbyt prędko. Nie wyszukałem jeszcze odpowiedniego miejsca na obóz i mieszkaliśmy chwilowo w niewielkim pensjonacie na obrzeżach miasta. Uprzejma właścicielka pozwoliła nam trzymać zwierzęta w ogrodzie, dopóki nie założymy bazy wypadowej. Niebawem w schludnych klatkach, ustawionych wokół rabatek z kwiatami, siedział już jeden ptak i para małpek. Pewnego wieczoru zjawił się jakiś mężczyzna, ciągnąc na sznurku dorosłą kapibarę. Gdy targowałem się o cenę, kapibara wędrowała po ogrodzie z miną arystokratki, skubiąc tu i ówdzie pączki kwiatów z nadzieją, że tego nie widzę.

W końcu kupiłem gryzonia i umieściłem w obszernej, nowo zbudowanej klatce o podłużnym, nieco trumiennym kształcie, mocno zabezpieczonej drucianą siatką. Wrzuciłem do środka całą stertę rozmaitych przysmaków i zostawiłem zwierzę, żeby się zaaklimatyzowało. Okno pokoju, który dzieliłem z przyjacielem— le, wychodziło na ogród i około północy wyrwały nas ze snu przedziwne odgłosy. Brzmiały tak, jakby ktoś grał na grzebieniu przy akompaniamencie głuchego stukania w metalową puszkę. Przez chwilę zastanawiałem się, co to, u licha, może być, i nagle przypomniałem sobie o kapibarze.

Wyskoczyłem z łóżka z głośnym okrzykiem: „Kapibara ucieka!” i popędziłem w piżamie do ogrodu, a mój towarzysz za mną. Gdy zbiegliśmy na dół, wszędzie panowała absolutna cisza, a nasz gryzoń siedział sobie spokojnie, mierząc nas wyniosłym spojrzeniem. Wdaliśmy się w długi spór, czy to istotnie kapibara tak hałasowała. Mój przyjaciel twierdził, że nie, gdyż zwierzę wygląda zbyt niewinnie, ja zaś upierałem się, że tak — z tego samego powodu. Ponieważ dźwięki się nie powtórzyły, wróciliśmy do pokoju i zaledwie zdążyliśmy się położyć, hałas wybuchł ponownie, i to jeszcze gorszy niż przedtem. W blasku księżyca dostrzegłem przez okno, że klatka kapibary trzęsie się i kołysze gwałtownie.

Gdy zeszlismy cicho na dół i podkradliśmy się ostrożnie do klatki, zobaczyliśmy, co się dzieje. Kapibara siedziała w środku z pogardliwym wyrazem pyska, wysuwając od czasu do czasu łeb i zaczepiając długie, zakrzywione kły o gruby drut, który naciągała i puszczała tak raptownie, że cała klatka wibrowała niczym struny harfy. Gdy dźwięk cichł, zwierzę unosiło tłusty zadek i kopało metalową tacę, uderzając w nią z grzmiącym łoskotem. Przypuszczam, że oklaskiwało w ten sposób swe muzyczne wyczyny. Doszlismy do wniosku, że nie próbuje uciec, lecz po prostu podobają mu się te dźwięki.

Musieliśmy jednak ukrócić popisy kapibary, gdyż pozostali mieszkańcy pensjonatu mogli lada chwila zacząć się uskarżać na hałas. Usunęliśmy tacę i okryliśmy przód klatki płótnem, w nadziei że teraz zwierzę ułoży się do snu, po czym wróciliśmy znowu do pokoju. Zaledwie otuliłem się

kocem, usłyszałem z przerażeniem brzękliwe dźwięki dobiegające z ogrodu. Nie miałem pojęcia, jak mógłbym położyć temu kres i gdy zaczęliśmy z przyjacielem dyskutować na ten temat, obudzili się pozostali pensjonariusze, którzy stukali do drzwi z informacją, że jakieś zwierzę ucieka, hałasując nie do wytrzymania. Tłumaczyłem się gęsto, myśląc przy tym gorączkowo, jak okiełznać paskudnego gryzonia.

Wreszcie mój przyjaciel wpadł na świetny pomysł, by zanieść kapibarę w klatce do muzeum przyrodniczego, które znajdowało się niedaleko i w którym mieliśmy zaprzyjaźnionego kustosa. Mogliśmy zostawić zwierzę pod opieką nocnego stróża i odebrać je rano. Narzuciliśmy ubrania na pizamy, pod—kradliśmy się do klatki o trumiennym kształcie, owinęliśmy ją grubym płótnem i ruszyliśmy w drogę. Kapibara, najwyraźniej rozgniewana z powodu przerwanych koncertów, dawała upust swemu niezadowoleniu, biegając po klatce i kołysząc nią niczym huśtawką. Choć droga była krótka, musieliśmy kilkakrotnie odpoczywać.

Za rogiem ulicy, tuż przed muzeum, wpadliśmy na policjanta. Niezmiernie trudno jest wytłumaczyć przedstawicielowi władzy, dlaczego wędrujesz po mieście o pierwszej w nocy, dźwigając klatkę z dużym gryzoniem, zwłaszcza gdy spod narzuconego w pośpiechu ubrania wystają ci fragmenty pizamy. W pierwszej chwili uznał zapewne, że włamaliśmy się do któregoś z pobliskich domów i uciekamy z łupem, lecz po krótkim namyśle doszedł do wniosku, iż zamordowaliśmy kogoś i teraz wynosimy w skrzyni ciało ofiary. Nie bardzo chciał uwierzyć w opowieść o kapibarze i poddał się dopiero wówczas, gdy zdjęliśmy płótno i pokazaliśmy mu zwierzę.

Od tej chwili zaczął odnosić się do nas bardzo uprzejmie i nawet pomógł nam dźwigać klatkę. Stanąwszy przed bramą muzeum, zaczęliśmy wszyscy trzej wywoływać stróża, podczas gdy kapibara szarpała druty, by ukoić nasze nerwy odrobiną muzyki. Nikt jednak nie odpowiedział na wezwanie i wkrótce stało się jasne, że nocny stróż, gdziekolwiek się znajduje, z całą pewnością nie pilnuje muzeum. Po chwili zastanowienia policjant zaproponował, żebyśmy zanieśli kapibarę do miejskiej rzeźni, gdzie stróż zajmie się nią do rana. Po drodze mijaliśmy nasz pensjonat i zaproponowałem, by zostawić klatkę w ogrodzie, a potem upewnić się, że zwierzę będzie mogło spędzić noc w rzeźni. Znajdowała się dość daleko i uznałem, że nierozsądnie byłoby taszczyć tam kapibarę, skoro nie jesteśmy pewni, czy ją przyjmą.

Pozostawiwszy zwierzę, nadal wygrywające krótkie melodie na drutach klatki, podążyliśmy ospale pustymi uliczkami i w końcu, błądząc odrobinę, znaleźliśmy rzeźnię. Ku naszej radości, w oknie paliło się światło. Zaczęliśmy nawoływać i rzucać kamykami, aż wreszcie wychylił się bardzo stary Murzyn, który spytał, czego chcemy. Wyjaśniłem, że chodzi nam o przechowanie kapibary; jednak on najwyraźniej uznał, że jesteśmy szaleni, zwłaszcza gdy dodałem, że nie mamy jej z sobą, lecz przyniesiemy, gdy zgodzi się ją przenocować. Zaczął wypytywać, co to takiego kapibara, a gdy odpowiedziałem, że duży gryzoń, starzec z zaniepokojoną miną pokręcił głową. — To miejsce rzeźni — powiedział. — To miejsce dla krowów. Ja myślę, gryzoniu tu nie wolno. W końcu zdołałem go jednak przekonać, że kapibary są niewiele mniejsze od „krowów” i przenocowanie jednego zwierzęcia nie obróci w perzynę całej rzeźni. Ustaliwszy warunki, wróciliśmy po klatkę. Skąpany w księżycowej poświacie ogród był cichy i spokojny, a winowajca, zwinięty w kłębek, pochrapywał cicho w kącie. Zostawiliśmy go w spokoju i przespał tak resztę nocy. Gdy zeszliśmy rano do ogrodu, wyczerpani nocnymi wysiłkami, zastaliśmy kapibarę w pełni sił, bez najmniejszych oznak znużenia.

W Gujanie żyje kilka gatunków oposów, które odznaczają się tym, że jako jedyne zwierzęta poza obszarem Australii noszą młode w torbie, podobnie jak kangury. Południowoamerykańskie oposy są podobne do szczurów: mają długą, zmierzwioną sierść i łyse ogony, a przy tym osiągają bardzo zróżnicowane rozmiary: mogą być wielkości kota, ale i wielkości myszy. Na ogół jednak

przypominają szczura; dopiero gdy widzisz je na drzewie, zdajesz sobie sprawę, że zupełnie nie są podobne do szczurów. Wspinają się po drzewach nie gorzej niż małpy i oprócz łap używają do tego celu ogona, który oplata gałęzie jak wąż, tak mocno, że jeśli nawet łapy stracą oparcie, ogon ratuje oposa przed upadkiem.

Najładniejszymi z gujańskich oposów były te mniejsze. Tubylcy nazywają oposy „skoczkami”, a ten gatunek zyskał miano „księżycowych skoczków”, ponieważ można go było napotkać wyłącznie podczas pełni księżyca. Były to naprawdę niebrzydkie stworzenia o smolście czarnych grzbietach, cytry— nowożółtych brzuskach, różowych ogonach, łapkach i uszach, i gęstych białawych brwiach nad ciemnymi ślepkami. Były mniej więcej wielkości przeciętnego szczura, lecz miały bardziej spiczaste pyszczki i znacznie dłuższe ogony.

Pierwszego „księżycowego skoczka” przyniósł mi indiański chłopiec, który schwytał zwierzątko nocą w ogrodzie. Nadszedł ze zdobyczą dyndającą na sznurku w chwili, gdy pakowałem się do wyjazdu, a na rzece czekał prom, który miał odwieźć mnie do Georgetown. Nie miałem ani chwili do stracenia. W połowie drogi do nabrzeża uświadomiłem sobie, że nie mam klatki dla małego oposa. Postanowiłem wysiąść i nabyć w wiejskim sklepiku pudełko odpowiednich rozmiarów, które mógłbym przerobić na klatkę. Mój przyjaciel pośpieszył naprzód, by zatrzymać prom, ja zaś pogałem do sklepu po pudełko, trzymając sznurek z rozdrażnionym zwierzątkiem.

Mężczyzna za ladą wygarnął stertę puszek ze skrzynki, którą podsunął mi bez słowa.

Podziękowałem jednym tchem, złapałem skrzynkę i pomknąłem z powrotem. Indiański chłopiec biegł tuż obok i w pewnej chwili wyjął mi klatkę z rąk, umieszczając ją sobie zręcznie na głowie. Bieg po pylistej drodze w prażącym słońcu dał mi się we znaki i za każdym razem, gdy przystawałem dla zaczerpnięcia oddechu, słyszałem głośnie, zrzędlive pojękiwania promu.

Dobiegłem do nabrzeża w chwili, gdy zniecierpliwieni czekaniem mieli właśnie podnieść trap. Gdy odetchnąłem, znalazłszy się na pokładzie, przygotowałem klatkę dla oposa i czekało mnie niewdzięczne zadanie odwiązania sznurka. Rozzłoszczone zwierzątko syczało na mnie jak wąż i kłapało dziko zębami, lecz mimo to udało mi się przeciąć sznur. Wówczas zauważyłem dziwną, kielbaskowatą opuchliznę na brzuchu między tylnymi łapami. Pomyślałem, że mogą to być jakieś obrażenia wewnętrzne. Obmacując delikatnie dziwaczną torbiel, rozgarnąłem sierść i ujrzałem długą, płaską kieszeń z czterema drżącymi, różowymi maleństwami.

A zatem dziwaczne nabrzmienie nie wiązało się z żadnymi obrażeniami. Moje wścibstwo i zagładanie do torby bez pozwolenia bardzo oburzyło panią oposową, która rzuciła się na mnie z głośnym wrzaskiem. Gdy znalazła się w klatce, natychmiast przysiadła na tylnych łapach i sprawdziła, czy wszystkie dzieci nadal znajdują się w kieszeni. Następnie wygładziła sierść i zabrała się do jedzenia owoców, których jej dostarczyłem.

Wkrótce rosnącym maluchom zrobiło się za ciasno w płytkiej matczynej kieszeni i tylko jeden mieścił się w niej swobodnie. Kładły się na dnie klatki, blisko mamy, i gdy coś je przestraszyło, pędziły ku niej co tchu, wiedząc, że tylko jedno schroni się w torbie, pozostałe zaś muszą się zmierzyć z zagrożeniem. Przechadzając się po klatce, pani oposowa nakłaniała dzieci do wspięcia się na jej grzbiet, i wszystkie przywierały mocno do matczynej sierści, owijając tułów samicy mocnym i kochającym uściskiem cienkich, różowych ogonków.

Rozdział trzynasty, w którym łapię rybę o dwóch parach oczu

Podczas pobytu w Gujanie bardzo pragnąłem schwytać kilka gatunków pięknych kolibrów, które zamieszkują ten kraj. Udało mi się znaleźć łowcę, który ze szczególną wprawą łapał te miniaturowe ptaszki i mniej więcej co dwa tygodnie przynosił mi klatkę z kilkoma okazami trzepoczącymi wewnątrz niczym pszczoły. Wiele osób mówiło mi, że bardzo trudno jest hodować kolibry, i niezmiernie się martwiłem o moją pierwszą czwórkę.

Na swobodzie kolibry żywią się nektarem, zawisając przed kielichami kwiatów i wsuwając w nie długie, cienkie dzioby, wyposażone we wrażliwe języki. W niewoli musiały nauczyć się pić miód z wodą i małą domieszką sosu Bovril oraz karmy Mel—lina. Mieszanka ta szybko się psuje w tropikach, w związku z czym należy karmić kolibry trzy razy dziennie. Najpierw trzeba było je nauczyć korzystania ze szklanego naczynia, przywykły bowiem do barwnych kwiatnych płatków i nie od razu zrozumiały, że w naczyniu kryje się pożywienie.

Gdy zjawiły się u mnie, zacząłem wyjmować je ostrożnie z klatki i zanurzać ich dziobki w naczyniu z miodem i wodą, dopóki nie wysunęły języczków i nie zaczęły ssać łączywie.

Nakarmiwszy kolibra, wkładałem go do klatki, w której stało naczynie z pokarmem, a następnie zrywałem szkarłatny kwiat hibiskusa i wtykałem go do pojemnika z miodem.

Koliber, mniej więcej wielkości trzmiela, przysiadł na gałązce, czyszcząc piórka i ćwierkając z zadowoleniem. Później podrywał się i krążył po klatce jak helikopter, trzepocząc skrzydłami tak szybko, że tworzyły ciemną plamkę nad jego grzbietem. W końcu dostrzeż! kwiat hibiskusa i pikował w jego stronę, wysuwając dziób. Wyssawszy nektar z kwiatu, ptaszek dziobał dalej i wkrótce dobierał się do miodu, który spijał, unosząc się nadal w powietrzu. Już po upływie doby wiedział, że w szklanym naczyniu wiszącym na ścianie klatki znajduje się zapas słodkiego miodu — i odtąd nie musiałem wtykać znaku w postaci kwiatka. Maleńkie ptaszki zadomowiły się w klatce i po dwóch dniach były już tak oswojone, że gdy wsuwałem rękę, nie czekały aż zawieszę naczynie z pokarmem, lecz sfruwały od razu i piły, przysiadając od czasu do czasu na moich palcach i muskając połyksliwe piórka.

W naszym obozie w Georgetown często działo się coś ciekawego. Nigdy nie wiedziałem, o jakiej porze dnia lub nocy pojawiają się nowe okazy. Czasami jakiś mężczyzna przynosił na ramieniu małpkę, jakiś chłopiec dźwigał wiklinowy kosz pełen ptaków, albo zawodowy myśliwy przywoził plon tygodniowych łowów, przyjeżdżając furmanką pełną klatek z różnymi zwierzętami.

Pamiętam bardzo starego Indianina; pewnego dnia wkroczył on do ogrodu, niosąc kosz z rafii, który wręczył mi z wielką uprzejmością. Zapytałem go, co jest w środku, on zaś odparł, że szczury. W takich wypadkach zdjęcie pokrywy niczym nie grozi, ponieważ szczury zazwyczaj przysiadają na dnie kosza i nie próbują uciekać. Odsunąłem zatem pokrywkę i stwierdziłem, że stworzenia w koszyku nie są szczurami, lecz marmozetami, które żwawo wyskoczyły na zewnątrz i rozpiechły się na wszystkie strony. Po gorączkowym, półgodzinnym pościgu udało nam się je wyłapać i umieścić w klatce. Odtąd zachowywałem większą ostrożność podczas otwierania koszyków z okazami.

Małe marmozety były mniej więcej wielkości szczurów, miały długie, kosmate ogony i czarne, inteligentne pyszczki. Ich sierść była smoliście czarna, a łapki jaskrawopomarań—czowe.

Trzymaliśmy małpki w obszernej klatce, po której mogły hasać do woli, a za sypialnię służyło im pudło z wyciętym otworem. Wieczorami siadały gromadnie przy drzwiczkach, gaworząc i popiskując w oczekiwaniu na kolację. Wypijały miskę mleka i zjadały po pięć pasikoników, a schrupawszy ostatnią okruszynę, oddalały się szeregiem z najstarszą z nich na czele, włożyły uroczyście do pudła i tam zbijały się w ciasną kulę. Nie mam pojęcia, jak mogły spać w tej pozycji i uniknąć uduszenia, lecz najwyraźniej marmozety śpiąją w grupach, zarówno na swobodzie, jak i w niewoli.

Pewnego dnia wszedł do ogrodu wysoki Murzyn, prowadząc na długim sznurku stworzenie o niezwykłym wyglądzie. Przypominało olbrzymią świnkę morską w wielkie białe łaty. Miało duże ciemne oczy i gęste białe wibrysy. Była to paka, bliska krew—niaczka świnki morskiej, a także kapibary. Po ustaleniu ceny zapytałem Murzyna, czy zwierzę jest oswojone, na co on podniósł pakę, pogładził, przemówił do niej i zapewnił mnie, że trafiła do niego jako osesek i jest najłagodniejszym stworzeniem pod słońcem. W tym czasie kupiłem sporą partię okazów i

brakowało mi klatek. Skoro paka była oswojona, postanowiłem przywiązać ją po prostu do najbliższego pniaka. Dałem jej trochę warzyw i szybko o niej zapomniałem.

Nieco później, idąc wzdłuż rzędu klatek i zbierając poidła do wypłukania, usłyszałem nagle warczenie, którego nie powstydziliby się nawet tygrys — i coś rzuciło się na mnie, zatapiając zęby w mojej łydce. Oczywiście podskoczyłem gwałtownie, upuszczając poidła, które tak pieczołowicie zbierałem. Zaatakowała mnie, rzecz jasna, paka, choć nie potrafię dociec dlaczego, gdyż sprawiała wrażenie całkowicie oswojonej. Miałem rozdarte spodnie, a moja noga krwawiła. Byłem bardzo rozzłoszczony, paka zaś przez tydzień nie dopuszczała nikogo do siebie; ilekroć ktoś się zbliżył, rzucała się na intruza, zgrzytając zębami i warcząc wściekle. Po tych wybuchach złości z niewiadomych przyczyn łagodniała i pozwalała drapać się za uszami i łaskotać po brzuchu. Zachowywała się w ten sposób przez cały czas i podchodząc do klatki nigdy nie byłem pewien, czy paka powita mnie życzliwie, czy wbije mi w dłoń ostre zęby.

Do najbardziej niezwykłych okazów, jakie zdobyliśmy w George—town, należała niewielka ryba, mierząca cztery czy pięć cali. Kilka takich ryb przyniosła nam w kociołku pewna przemiła stara Murzynka. Kupiłem je i wpuściłem do dużego, kulistego akwarium. Od razu zauważyłem, że jest w nich coś osobliwego, lecz przez kilka sekund nie mogłem dojść, co to takiego. Wtem dostrzegłem, że mają jakieś dziwne oczy. Wyjąłem jedną z wody i wpuściłem do słoja, żeby dokładniej się jej przyjrzeć. Wówczas zobaczyłem, co mnie w nich zaintrygowało: ryba miała dwie pary oczu.

Oczy były duże i wypukłe, podobne do oczu hipopotama. Ich gałki dzieliły się na połowy, tworząc jak gdyby oko nad okiem. Odkryłem, że ryby te żyją tuż pod powierzchnią morza i jedna para oczu wypatruje napastników w wodzie, druga zaś pokarmu na powierzchni oraz drapieżnych ptaków w górze. Jest to niewątpliwie jeden z najbardziej zdumiewających mechanizmów obronnych u zwierząt i jedna z najbardziej niezwykłych ryb, jakie widziałem.

W Gujanie można napotkać przedziwne stworzenia. Należy do nich pewien wielce osobliwy ptak: hoacyn, zwany przez tubylców „śmierdzianną” z powodu mocnej piżmowej woni, jaką wydziela. Ten dziwny ptak ma na skrzydle „palec” zakończony haczykowatym pazurem. Pisklęta mogą kilka godzin po wykluciu wydostać się z gniazda i wędrować po drzewach jak małpki, chwytając się pazurkami gałęzi. Gnieźdzą się w kolczastych zaroślach nad wodą i w razie zagrożenia świeżo wyklute pisklęta śmiało skaczą w toń znajdującą się dziesięć stóp niżej, w której pływają i nurkują jak rybki. Później wspinają się na drzewo i wracają do gniazda. Hoacyn jest jedynym ptakiem na świecie, który potrafi tego dokonać, a pisklęta przedstawiają nader osobliwy widok, gdy tak huśtają się wśród gałązek albo dają nura niczym miniaturowe ludziki w pierzastych kostiumach kąpielowych.

Rozdział czternasty, w którym opisuję kajmana krokodylowego i wstrząsające węgorze elektryczne
Z wielu powodów opłacało się trzymać zwierzyńiec w George—town: miałem zapewnione stałe dostawy pożywienia, a ponadto mogłem wyszukiwać na targu ciekawe okazy, przywiezione przez handlarzy z dalszych okolic. Znajdowałem się również stosunkowo blisko lotniska, dzięki czemu wysyłałem regularnie drogą powietrzną do Anglii niektóre z wrażliwszych zwierząt. Podróż samolotem najlepiej znoszą gady i płazy, zatem mniej więcej co dwa tygodnie pakowałem do skrzyń rozmaite żaby, ropuchy, żółwie, jaszczurki i węże, i odwoziłem je na lotnisko.

Wysyłanie tych stworzeń drogą powietrzną różni się znacznie od transportowania ich drogą morską. Przede wszystkim umieszcza się je w innego rodzaju klatkach. Żeby wysłać, na przykład, partię węży, potrzebna jest duża, lekka drewniana skrzynia; wkłada się każdego węża do płóciennego woreczka, zawiązuje mocno sznurkiem i zawiesza woreczki na gwoździach wbitych od wewnątrz w boki skrzyni. W ten sposób gady nie pożą się nawzajem, choć znajdują się w tej samej klatce. Lot z Gujany do Anglii trwa około trzech dni i wystarczy dawać węzom trochę wody,

gdyż mogą obywać się przez długi czas bez pożywienia. Przed odlotem moje węże dostawały obfity posiłek, po którym zwijały się w swoich workach, trawiąc pokarm; a zanim go strawiły, samolot lądował w Anglii.

Żaby, ropuchy i mniejsze jaszczurki również podróżowały w woreczkach, przeważnie na tych samych zasadach co węże. Ale większe jaszczurki, takie jak legwany zielone, potrzebują specjalnych klatek, w których umieszcza się pięć do sześciu okazów i utyka wewnątrz dużo gałęzi, aby gady miały się czego trzymać. Stwierdziłem również, że młode kajmany bardzo dobrze znoszą podróż samolotem — w przeciwieństwie do dorosłych osobników, które zresztą, wraz z drewnianymi klatkami, okazały się tak ciężkie, że koszty ich przewozu sięgnęły niebotycznych sum, dlatego większość dorosłych kajmanów popłynęła wraz ze mną statkiem.

Najmniejszy kajman, jakiego schwytałem w Gujanie, mierzył niewiele ponad sześć cali i zapewne dopiero co wykuł się z jaja. Największy zaś miał dwanaście stóp długości i w żadnym razie nie nazwałbym go uległym stworzeniem. Złapaliśmy go w rzece przecinającej północną sawannę i rojącej się od olbrzymich węgorzy elektrycznych oraz setek kajmanów. Jeden z angielskich ogrodów zoologicznych życzył sobie kajmana olbrzymich rozmiarów i uznałem, że poszukam zamówionego okazu w tej właśnie rzece. Tuż poniżej mego tymczasowego obozu znajdowała się niewielka zatoczka, a o jakieś sto pięćdziesiąt jardów od niej leżała wysepka, na której gromadziły się gady.

Zastosowałem bardzo prostą, lecz skuteczną pułapkę: dwie długie, masywne łodzie tubylców wpłynęły do zatoczki i ustawiły się tak, że spoczywały do połowy w wodzie, oddalone o jard od siebie, a między nimi biegł kanał, na którego końcu przywiązałem do zgiętego drzewka linę z pętlą na końcu. Do pętli tej przyczepiłem spory hak ze zdechłą, okrutnie cuchnącą rybą. Aby się do niej dostać, kajman musiał wsunąć łeb w pętlę, a wówczas prostujące się drzewko napinało sznur, zaciskając go wokół szyi gada. Drugi koniec liny przywiązany był mocno do krzepkiego drzewa, rosnącego na brzegu o jakieś sześć stóp wyżej. Zastawiłem sidła późnym wieczorem, ale oczekiwałem zdobyczy najwcześniej nazajutrz.

Tej samej nocy, tuż przed snem, pomyślałem, że sprawdzę, czy pułapka została odpowiednio przygotowana. Zeszliśmy z przyjacielem nad rzekę, przemierzając mroczny pas dżungli. Znalazszy się w pobliżu sideł, usłyszeliśmy przedziwne głuche odgłosy, których nie potrafiliśmy rozpoznać. Wkrótce jednak odkryliśmy ich źródło. Olbrzymi kajman wpełzł między łodzie i, zgodnie z moimi przewidywaniami, wetknął łeb w pętlę, by dostać się do ryby, a sznur zacisnął mu się na szyi. W świetle latarek zobaczyliśmy gigantycznego gada, który skręcał się i miotał między łodziami, odpychając je od siebie. Potężna paszcza kłapała głucho niczym siekiera rąbiąca drwa, a gruby ogon mącił wodę, uderzając w burty łodzi, których tylko jakimś cudem nie strzaskał. Naprężony sznur, oplatający szyję kajmana, przywiązany był do drzewa, w pobliżu którego staliśmy, i słyszeliśmy skrzypienie, gdy gad próbował się uwolnić. Drzewo dygotało z wysiłku i trzęsło się jeszcze w chwili, gdy wyczerpany kajman nieoczekiwanie legł nieruchomo w spienionej wodzie. Wówczas zrobiłem coś nieopisanie głupiego.

Pochyliłem się nad wodą, ująłem linę oburącz i zacząłem ciągnąć ją ku sobie. Kajman, czując ruchy pętli, podjął zawziętą walkę. Sznur napiął się ponownie, ja zaś wylądowałem na nadrzecznych skałach, wisząc w powietrzu, szukając oparcia dla stóp i kurczowo trzymając się liny. Wiedziałem, że jeśli spadnę, wyląduję na łuskowatym grzbiecie gada i jeśli nawet nie zmiażdżą mnie jego szczęki, cios potężnego ogona może roztrzaskać mi czaszkę. Przywarłem więc do liny, którą po chwili przytrzymał mój przyjaciel. Dzięki temu znalazłem oparcie dla stóp i wypelzłem na brzeg, a następnie puściliśmy linę. Kajman natychmiast znieruchomiał, my zaś doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie wrócić do obozu po dodatkowe sznury, gdyż w nocy gad może zerwać pętlę i uciec. Pobiegliśmy co sił po niezbędne przybory i wróciliśmy z dwiema

latarniami oraz kilkoma latarkami elektrycznymi. Kajman tkwił w wodzie, mrugając oczyma wielkości włoskiego orzecha. Należało przede wszystkim unieszkodliwić wielką, zębatą paszczę; w tym celu ostrożnie opuściliśmy przywiązaną do drzewa pętlę, która mocno opasała jego pysk. Wpełzłem do łódki, podczas gdy mój towarzysz pilnował światła, i z pewnym trudem udało mi się zadzierzgnąć drugą pętlę na ogonie kajmana. Przeciągnąłem ją do samej nasady i zawiązałem mocno. Koniec sznura był również omotany wokół drzewa. Zabezpieczywszy kajmana trzema sznurami, udaliśmy się na spoczynek, przekonani, że można go tak zostawić do rana. Nazajutrz podpłynęliśmy wraz z tubylcami do zatoczki i zaczęliśmy się zastanawiać, jak wydobyć tego olbrzymiego gada na stromy brzeg i załadować do samochodu. Tubylcy przynieśli długą, grubą deskę, którą spróbowaliśmy wsunąć pod kajmana. Spoczywał jednak w tak płytkiej wodzie, że nie mogliśmy umieścić deski pod jego brzuchem, zanurzonym w mule. Musieliśmy poluzować linę i wypuścić gada na głębszą wodę. Wepchnęliśmy deskę i przywiązaliśmy do niej kajmana, oplatając sznurem jego pysk, ogon i krótkie, mocne łapy. Teraz już można było wyciągnąć go z wody na brzeg. Dwunastu ludzi borykało się z tym przez półtorej godziny, grzęznąc w błocie i przystając co chwila, kajman zaś — ku naszemu przerażeniu — zsuwał się za każdym razem coraz niżej. Napracowaliśmy się niemało, zanim udało nam się przepchnąć go na trawiastą równinę nad brzegiem rzeki, gdzie otoczyliśmy naszą zdobycz — przemoczeni i zabłoceni, lecz pełni satysfakcji.

Jeśli chodzi o stworzenia rzeczne, wiele zamieszania wywołał węgorz elektryczny. Popłynąłem wówczas w głąb kraju wraz z przyjacielem i pętailiśmy się po odległych dopływach, odwiedzając indiańskie wioski i kupując zwierzęta. Nabyliśmy między innymi oswojonego jeżozwierza, a w ostatniej wiosce odkryliśmy w koszyku młodego węgorza elektrycznego. Kupiłem go ochoczo, z wielkim zadowoleniem, gdyż był to pierwszy zdobyty przeze mnie okaz tego gatunku.

Usadowiliśmy się w łodzi i wyruszyliśmy do obozu, zmęczeni, lecz uradowani sukcesem. Siedziałem na dziobie, a między moimi stopami spał zwinięty w kłębek jeżozwierz. Nieco dalej skręcał się w koszyku węgorz. Za mną siedział mój towarzysz, a dalej dwaj wiosłarze popychali naprzód nasze dość niepewne czółno.

Zauważyłem ucieczkę węgorza dzięki jeżozwierzowi, który w panice wspiął się po mojej nodze i chętnie wlaźby mi na głowę, gdybym mu pozwolił. Przekazałem go przyjacielowi, zastanawiając się, o co, u diabła, chodzi, i rozglądając się po łódce. Zerknąwszy w dół, dostrzegłem węgorza zmierzającego bez wahania ku moim stopom. Przeraziłem się tak, że aż podskoczyłem, węgorz zaś przemknął dołem. Na szczęście nie wyrzuciłem łodzi.

Tymczasem węgorz zbliżył się do mojego towarzysza. Zawołałem, żeby uważał, on zaś, piastując jeżozwierza w ramionach, i *nc* zerwał się i potknął, padając plackiem na dno czółna. Węgorz prześliznął się obok, zmierzając ku wiosłarzowi, który — oko w oko z tym stworzeniem — nie okazał większej odwagi niż my: upuścił wiosło i przygotował się do opuszczenia statku.

Wybawienie nadeszło ze strony najmniej spodziewanej: od drugiego wiosłarza. Najwyraźniej węgorze elektryczne w rzece były dla niego zjawiskiem ze wszech miar normalnym, gdyż po prostu pochylił się i przygwoździł rybę wiosłem. Rzuciłem mu kosz, on zaś sprawnie wepchnął doń węgorza. Odczuliśmy wielką ulgę i nawet zaczęliśmy wymieniać żarty na ten temat. Nasz wybawca podał kosz z węgorzem koledze, który następnie przekazał go mojemu przyjacielowi. Gdy wyciągnąłem rękę po kosz, odpadło denko i węgorz ponownie znalazł się na swobodzie. Tym razem, na szczęście, spadł na burtę łodzi, wygięty w kabłąk. Jego tułów wykonał szybki, konwulsyjny skręt i nasz węgorz elektryczny z pluskiem zniknął w ciemnej wodzie.

Tak więc ów pełen emocji kwadrans zakończył się rozczarowaniem. Później jednak udało nam się zdobyć kilka innych okazów i nie żalowaliśmy straty. Duży węgorz elektryczny potrafi wytworzyć prąd o dość wysokim natężeniu i uśmiercić nawet człowieka lub konia, co się zdarzało podczas

przekraczania południowoamerykańskich rzek. Narządy wytwarzające energię elektryczną rozmieszczone są wzdłuż obu stron tułowia ryby, która jest w gruncie rzeczy jedną wielką baterią. Płynący węgorz przypomina grubego, czarnego węża, a gdy napotka po drodze jakąś rybę, nieruchomieje i cały jego tułów wydaje się drgać. Ryba skręca się i powoli opada coraz niżej, porażona lub martwa, węgorz zaś dopada jej szybkim ruchem i wciąga do paszczy, zawsze głową naprzód. Później osuwa się na dno rzeczki i odpoczywa przez kilka minut, a następnie podrywa się w górę, wystawia nos nad powierzchnię wody i nabiera powietrza przed udaniem się na poszukiwanie następnej ofiary.

Część trzecia

Przejażdżki po Paragwaju

Rozdział piętnasty, w którym poluję z gauciami

Chcę wam teraz opowiedzieć o mojej ostatniej wyprawie. Niedawno wróciłem z półrocznej podróży po Argentynie i Paragwaju. Argentynę zamieszkują fascynujące zwierzęta, zupełnie inne niż w pozostałych krajach Ameryki Południowej. Ponieważ prawie cała Argentyna pokryta jest rozległymi, trawiastymi obszarami, zwanymi pampą, wszystkie stworzenia przystosowały się do życia na otwartych równinach. Argentyńska pampa jest niebywale płaska; gdy staniesz w jakimś miejscu, widzisz pokryty trawą step, rozciągający się aż po horyzont niczym gładki stół bilardowy. Wśród wysokich traw rosną potężne osty, podobne do angielskich, lecz znacznie przekraczające je rozmiarami. Osiągają wysokość sześciu, a nawet siedmiu stóp i gdy kwitną, zielona trawa sprawia wrażenie, jakby spowijała ją fioletowa mgiełka, co wygląda naprawdę wspaniale.

Łapanie zwierząt na takiej otwartej równinie jest zadaniem trudniejszym, niż się w pierwszej chwili wydaje. Przede wszystkim większość stworzeń żyje w norach i wychodzi jedynie nocą. Ponadto rośnie tam bardzo niewiele drzew i krzewów, dlatego zdobywczy widzi łowcę z daleka. A jeśli nawet go nie zauważy, ostrzeże ją siewka — z punktu widzenia łowcy zwierząt najbardziej irytujący ptak pampy. Siewki te są bardzo ładnymi ptakami, trochę podobnymi do siewek angielskich. Mają czarno—białe upierzenie i zawsze trzymają się parami. Odnaczają się doskonałym wzrokiem i niezwykłą podejrzliwością — i gdy tylko dostrzegą coś, co odbiega od normy, wzbijają się w powietrze i krążą nad trawami, krzyżąc przenikliwie i ostrzegawczo „te—ro—tero—tero”, co stawia w stan pogotowia wszystkie zwierzęta w promieniu kilku mil.

Jednym z najpospolitszych stworzeń zamieszkujących pampę jest pancernik włochaty. Kryje się w norze, sięgającej niekiedy trzydzieści do czterdziestu stóp w głąb ziemi, którą sam wykopuje.

Opuszcza ją nocą, a gdy coś go zaniepokoi, wraca do niej jak po sznurku i daje nura w bezpieczne miejsce. Oczywiście najlepiej łąpać pancerniki nocą, zwłaszcza gdy księżyc nie świeci zbyt jasno. Zazwyczaj wyjeżdżaliśmy konno z rancza i docieraliśmy do jakiegoś oddalonego miejsca. Stamtąd wyruszaliśmy pieszo, uzbrojeni w latarki, podążając za dwoma wyszkolonymi psami myśliwskimi. W trakcie polowania na pancerniki łowca musi wykazać się kondycją szybkobiegacza, ponieważ psy najczęściej wyrwywają się naprzód i kluczą po okolicy z nosami przy ziemi. Gdy zwęszą zwierzyne, zaczynają ujadać, pancernik zaś umyka do swej zacisznej nory. Jeśli znajduje się ona w pobliżu, szanse schwytania zwierzęcia są niewielkie. Podczas naszego pierwszego nocnego polowania udało nam się złapać kilku innych przedstawicieli tamtejszej fauny.

Przemierzyliśmy ze dwie mile, ostrożnie wymijając gigantyczne osty, które potrafiły wbijać kolce niczym jeżozwierze, jeśli człowiek zanadto się zbliżył, gdy nagle psy idące przodem zaczęły szczekać. Wszyscy runęli pędem w ich stronę, potykając się, przeskakując kępy trawy i omijając osty. Było tak ciemno, że kilkakrotnie wpadłem prosto w kępę ostów i zanim dotarłem do miejsca, w którym psy zwęszyły zdobycz, byłem pokłuty od stóp do głów. Psy zgromadziły się w pewnej odległości od stworzenia ukrytego w trawie i w świetle latarek dostrzegliśmy bojowo nastawione

zwierzę wielkości kota, o czarno—białym futerku i puszystym ogonie, śmiało wzniesionym w górę. Był to skunks plamisty.

Przyglądał się nam bez śladu niepokoju, najwyraźniej przekonany, że potrafi z powodzeniem stawić czoło ludziom i psom. Od czasu do czasu wydawał ciche prychnięcie i podskakiwał w naszą stronę, wybijając się z przednich łap. Gdy podchodziliśmy bliżej, zawracał i pokazywał nam zadek, rzucając przez ramię ostrzegawcze spojrzenia. Psy, wiedząc, że skunks może je mocno spryskać cuchnącą cieczą, zachowywały bezpieczną odległość. Kiedy zwierzę prezentowało nam swój arsenał, jeden z psów w napadzie nieroztropnej brawury rzucił się na nie. Skunks podskoczył, obrócił się w powietrzu — i w chwilę później pies tarzał się po trawie, skomlać i trąc pysk łapami, a chłodne nocne powietrze wypełnił ohydny, gryzący odór. Staliśmy nieco dalej, lecz mimo to zaczęliśmy się cofać, kaszląc, dysząc ciężko i łzawiąc obficie, jak gdybyśmy nawęchali się amoniaku. Po tym popisie skunks skierował się ku psom i wykonał kilka niedbałych podskoków, zmuszając w ten sposób sforę do ucieczki. Następnie zawrócił i powtórzył swój numer z nami — my zaś cofnęliśmy się równie szybko jak psy. Rozproszywszy wrogi krąg, skunks zadarł swój piękny ogon i oddalił się między kępami traw, bardzo z siebie zadowolony.

Doszliśmy do wniosku, że nie pragniemy zawrzeć z nim bliższej znajomości, przywołaliśmy zatem psy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Pies opryskany przez skunka śmierdział potwornie przez kilka dni. Odór słabł stopniowo, lecz prześladował nas po drodze, zwłaszcza w nocy. Hodowla skunksów w niewoli nastręcza sporo trudności. Jeśli pozostawi się im gruczoły zapachowe, mogą opryskać wszystkich i wszędzie w chwili przestrachu. Usunięcie tych gruczołów jest operacją bardzo prostą, lecz udaje się wyłącznie w przypadku młodych okazów.

Wkrótce potem ujadanie psów ponownie zmusiło nas do szaleńczego wyścigu wśród traw i ostów. Tym razem nasza sfora wytropiła pancernika, który gnał co sił w krótkich łapach ku norze, ścigany przez rozszczekane psy. Usiłowały złapać go zębami, lecz uniemożliwiała im to gruba, zrogowaciała skóra. Schwytaliśmy go bez trudu, podnosząc za ogon i wkładając do worka.

Pokrzepieni pierwszą zdobyczą, ruszyliśmy dalej z zapalem, mając nadzieję, że wkrótce złapiemy następnego pancernika; natknęliśmy się jednak na zupełnie inne stworzenie.

Gdy, depcząc psom po piętach, mijaliśmy niewielką kępę zarośli, wyskoczyło z niej zwierzę podobne do szczura i szybko znikło wśród ostów. Psy ruszyły w pościg i wkrótce dogoniły stworzenie, chwytając je zębami, ono zaś padło jak martwe. Myśliwi odwołali psy i podeszliśmy do nieżywego zwierzęcia. Okazało się, że jest to duży opos, o rozmiarach niewielkiego kota i wydłużonym jak u gryzonia pysku. Pasiasta sierść miała czekolado—kremową barwę, długi ogon przypominał szczurzy, uszy zaś przywodziły na myśl miniaturowego muła i były nieowłosione. Gdy poskarżyłem się myśliwym, że psy uśmierciły zwierzę, wybuchnęli gromkim śmiechem i poradzili, bym przyjrzał mu się bliżej. Poświeciwszy latarką, upewniłem się, że opos wciąż oddycha, choć tak lekko, iż było to prawie niezauważalne. Mogłem go poruszać, a nawet przewracać, on zaś zwiślał bezwładnie, wyglądając jak nieżywy, co było w istocie jego metodą obrony, miał bowiem nadzieję, że w końcu uznamy go za martwego i odejdziemy, a wówczas uda mu się uciec. Kiedy pakowaliśmy go do worka, uświadomił sobie, że nie daliśmy się nabrać i podjął walkę, prychnając jak kot i kłapiąc zębami. Złapaliśmy później inne stworzenia tego gatunku i wszystkie z wyjątkiem bardzo młodych, które najwyraźniej nie opanowały jeszcze tej sztuczki, próbowały nas oszukać, udając martwe.

W drodze powrotnej na ranczo psy wywęszyły jeszcze jednego pancernika włochatego i tym razem mogłem się przekonać, jak silne jest to nieduże zwierzątko. Gdy psy go wytropiły, znajdował się w pobliżu swej nory i zanim go dopędziliśmy, zdążył dotrzeć do jej wylotu. Jeden z myśliwych dał imponującego susa naprzód i złapał zagrzebanego w ziemi pancernika za ogon. Wraz z drugim myśliwym rzuciliśmy się w stronę zwierzęcia, dysząc ciężko, i każdy z nas pochwycił je za tylną

łapę. Pancernik tkwił w tunelu jedynie przednią połową ciała, lecz przy tym wbił pazury w ziemię i wygiął grzbiet, klinując się w norze. Choć wszyscy trzej ciągnęliśmy i szarpaliśmy z całych sił, nie mogliśmy wyrwać go z jamy. Udało nam się to, dopiero gdy czwarty uczestnik polowania przybył z pomocą i wyciął kawałek darni nożem myśliwskim. Wówczas zwierzątko wyskoczyło niczym korek z butelki, tak niespodziewanie, że wszyscy klapnęliśmy na ziemię, wypuszczając z rąk naszą zdobycz, która omal nam nie uciekła po raz wtóry.

Nasze dwa pancerniki bardzo szybko zadomowiły się w klatce i oswoiły. Miały wydzieloną część sypialną i przesypiały w niej całe dnie, leżąc na grzbietach obok siebie i wydając stłumione chrapnięcia, podczas gdy ich pyszczki drgały lekko. Zapadały w zadziwiająco głęboki sen, gdyż leżały jak martwe, nawet kiedy się tłukło w pręty klatki, krzyczało lub szturchało zwierzątko w różowe, pomarszczone brzuszki. Jedynie grzechot miski, nawet cichy, budził pancerniki, które w mgnieniu oka zrywały się na równe nogi.

Mięso wszystkich południowoamerykańskich pancerników jest jadalne. Nigdy nie miałem okazji go skosztować, lecz przypuszczam, że upieczone w swych pancerzach — rzecz jasna, po uprzednim uśmierceniu — są pyszne i przypominają w smaku pieczone prosię. Wielu gauczów (południowoamerykański odpowiednik kowbojów) łapie te zwierzęta i trzyma je, jak w spiżarni, w beczkach wypełnionych ziemią. Dzięki temu przy specjalnych okazjach gauczowie mogą się delektować pieczonym pancernikiem.

Gdy wracaliśmy ze zdobyczą do obozu, dobiegł mnie w nocnej ciszy odległy tętent kopyt, który przybliżał się stopniowo i umilkł nagle o kilka kroków od nas. Brzmiało to dość niesamowicie i przez chwilę zastanawiałem się, czy po pampie nie galopuje przypadkiem duch jakiegoś starego gauczka. Zapytałem moich towarzyszy, gdzie jest ów koń, którego słyszałem, oni zaś wzruszyli ramionami i odparli chórem: „Tukotuko”. Wówczas zrozumiałem, skąd się biorą osobliwe odgłosy. Tukotuko jest niedużym gryzoniem, mniej więcej wielkości szczura, o zaokrąglonej mordce i krótkim włochatym ogonie. Kopie ogromne, rozgałęzione nory tuż pod powierzchnią ziemi i opuszcza je wyłącznie nocą, poszukując roślin i korzonków, którymi się żywi. Osobliwe to stworzenie ma bardzo czuły słuch i gdy wyczuje drżenie ziemi nad swoją norą, wydaje ostrzegawcze dźwięki, zawiadamiając o zagrożeniu inne tukotuki. Nie wiadomo, jak mu się udaje tak wiernie naśladować galopującego konia; być może jego nawoływania, odbijające się echem wśród rozległych nor i korytarzy, brzmią z pewnej odległości jak tętent kopyt. Nawiasem mówiąc, tukotuko jest zwierzęciem bardzo płochliwym i mimo wielokrotnych prób nie udało mi się schwytać ani jednego przedstawiciela tego gatunku, choć należy on do najpospolitszych na tych terenach.

Podczas pobytu w Argentynie marzyłem o sfilmowaniu tradycyjnego polowania gauczów.

Zwyczaj ten już niemal całkowi— cie wygasł, choć wielu mężczyzn wie, na czym rzecz polega. Gauczowie ścigają zwierzę konno, a ich bronią są śmiercionośne *boleadoras*, czyli trzy kule na połączonych ze sobą sznurkach. Mężczyźni wywijają nimi nad głowę, a następnie rzucają. Sznury z wirującymi w różne strony kulami oplątują nogi zdobyczy, powalając ją na ziemię.

W Ameryce Południowej żyje pewien krewniak strusia, zwany nandu szarym. Jest mniejszy od swego afrykańskiego kuzyna i ma upierzenie popielate, a nie czarno—białe, lecz podobnie jak inne strusie, potrafi niesłychanie szybko biegać. W czasach, gdy liczne stada tych ptaków zamieszkiwały argentyńską pampę, nandu stał się głównym celem polowań gau—czów. Spora grupa nandu żyła na ranczu mojego znajomego, który zaproponował, że poprosi gauczów, by zorganizowali polowanie i pozwolili mi je sfilmować.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem: gauczowie na wspaniałych wierzchowcach, ja zaś wozem, wraz z kamerą i całym sprzętem fotograficznym. Przemierzaliśmy pampę, omijając kępy gigantycznych ostów. Spłoszyliśmy parę siewek, które wzbity się w powietrze i krążyły nad nami,

krzyżąc głośno i ostrzegając ku naszej irytacji wszystkie stworzenia w promieniu kilku mil. Ptaki towarzyszyły nam w dalszej drodze, obserwując naszą grupę i rozgłaszając wszem wobec nadejście wroga. Gdy dotarliśmy do wielkiej kępy ostów, przeraźliwe okrzyki jednego z gauczów powiadomiły nas, że zwierzyna jest blisko. Stojąc na wozie, dostrzegłem szary kształt przemykający wśród ostów, a potem nieoczekiwanie wyskoczył na równinę pierwszy nandu. Wyprysnął spomiędzy ostów jak tancerz w przedstawieniu baletowym, zamarł na chwilę, by się nam przyjrzeć, po czym umknął błyskawicznie, wyciągając szyję i unosząc potężne nogi niemal na wysokość głowy. Jeden z gauczów opuścił galopem zarośla, próbując odciąć ptakowi drogę. Nandu stanął jak wryty, okręcił się wokół własnej osi i popędził w przeciwną stronę wielkimi susami, co wyglądało, jakby miał nogi na sprężynach. Wkrótce zniknął nam z oczu wraz z depczącymi mu po piętach myśliwymi. Zanim zdążyliśmy puścić się w pogoń, z kępy ostów wybiegł następny ptak. Była to samica, znacznie mniejsza i jaśniejsza niż samiec. Ku memu zdumieniu, nie pobiegła za swym partnerem, lecz przystanęła w trawie, przestępując niespokojnie z nogi na nogę. Z zarośli dobiegło skrzeczenie i wtedy zrozumiałem, dlaczego samica nie ucieka. Dziesięć maluchów wygramoliło się spomiędzy ostów; pisklęta mierzyły około osiemnastu cali, a ich krągłe, pulchne ciała wielkości połowy piłki futbolowej wspierały się na krótkich, cienkich nogach zakończonych szerokimi, płaskimi stopami. Ptaszki pokryte były puchem w płowo—kremowe pasy. Wszystkie zgromadziły się u nóg matki, która ogarnęła je kochającym spojrzeniem, a następnie pokłusowała równiną, niemal w zwolnionym tempie, aby dzieci mogły dotrzymać jej kroku. Nie mając zamiaru jej gonić ani straszyć, zawróciliśmy wóz, kierując go w przeciwną stronę.

Niebawem nadjechał galopem jeden z gauczów i z błyskiem w oku zawiadomił nas, że zauważył w pobliskiej kępie ostów duże stado nandu. Wyjaśnił, w którą stronę powinniśmy skierować wóz z włączoną kamerą, podczas gdy on i jego koledzy okrążą ptaki i popędzą je ku nam, abym mógł wszystko sfilmować. Wyruszyliśmy zatem, kolebiąc się i podskakując na porośniętych trawą wertepach, aż wreszcie dotarliśmy na skraj gęstych zarośli, w których kryły się nandu. Widać było stamtąd całą równinę i mogłem bez kłopotu ustawić kamerę. Gdy odczytałem wskazania światłomierza i szykowałem się do filmowania, mój argentyński znajomy stanął obok i osłaniał mnie oraz kamerę japońską parasolką z papieru, gdyż słońce prażyło tak mocno, że po kilku minutach kolorowy film mógłby ulec zniszczeniu.

Gdy wszystko było gotowe, dałem znak i z oddali dobiegły nas głośne pokrzykiwania gauczów oraz trzeszczenie i chrzęst koleczastych roślin, miażdżonych końskimi kopytami. Wtem jeszcze głośniejsze wrzaski ostrzegły nas, że nandu opuściły kryjówkę i umykają co sił w nogach, i w chwilę później pięć ptaków wypadło z zarośli, pędząc przez równinę. Biegły podobnie jak tamten pierwszy, niemal dotykając łapami dziobów, i wydawało mi się, że mkną najszybciej, jak potrafią — lecz było to mylne wrażenie. Zaledwie wśród traw rozległ się tętent końskich kopyt i ukazali się gauczowie, wywijający nad głowami ze świstem swoimi *boleadoras*, ptaki podwinęły ogony i wystrze— liły naprzód ze zdwojoną szybkością, niczym odrzutowce. Po chwili zniknęły w głębi pampy, a okrzyki myśliwych i tętent kopyt ucichły w oddali.

Wiedziałem, że gauczowie niebawem dopędzą ptaki i zagonią je z powrotem w moją stronę. Piętnaście minut później ponownie ujrzałem nandu pędzące z tupotem po trawie, a tuż za nimi galopowali łowcy, których przenikliwe okrzyki mieszały się ze świstem *boleadoras*. Ptaki wciąż biegły razem, rozstawione w kształt zbliżony do litery V. Gdy znalazły się mniej więcej o sto jardów ode mnie, jeden z nich skręcił i ruszył w kierunku wozu, na którym stałem z kamerą. Któryś z gauczów natychmiast udał się w pościg, by zagnać ptaka z powrotem do stada. Popędzał konia, a nandu, coraz bardziej zdenerwowany bliskością prześladowcy, nie zauważył wozu, mnie ani kamery. Spoglądałem przez wizjer, odczuwając lekki niepokój, gdyż ptak pędził naprzód i zdawał

się nie dostrzegać przeszkody. Nie chciałem przerywać filmowania tej znakomitej sceny, a jednocześnie niezbyt mnie nęciła perspektywa czołowego zderzenia z kilkuset—funtowym nandem, poruszającym się z prędkością dwudziestu mil na godzinę. W ostatniej chwili, gdy byłem przekonany, że ptak, kamera, statyw i ja sam wylądujemy w malowniczym nieładzie wśród traw, nandu wreszcie mnie zauważył. Rzucił mi przerażone spojrzenie, okręcił się zgrabnie na pięcie i umknął w bok.

Później, mierząc odległość, stwierdziłem, że uciekający ptak znajdował się o sześć stóp od kamery i nagły skręt, który musiał wykonać, pozbawił go niewielkiej przewagi, jaką miał nad ścigającym. *Boleadoras* świsnęły w powietrzu i owinęły się wokół mocnych nóg nandu, który upadł, trzepocząc skrzydłami i wierzgając. Gauczo błyskawicznie zeskoczył z konia, rzucił się naprzód i pochwyił mlójące łapy. Musiał to zrobić bardzo umiejętnie i trzymać mocno, gdyż jeden celny cios potężnej stopy mógł z łatwością rozplatać mu brzuch. Nakręciwszy kilka bliskich ujęć naszej zdobyczy, odwinęliśmy *boleadoras* z szyi i nóg ptaka, który przez chwilę spoczywał bezwładnie w trawie, a potem zerwał się i niespiesznie pokłusował w stronę kępy ostów, gdzie dołączył do swych towarzyszy.

Gdy zadowoleni z naszego filmu wracaliśmy z rancza, natknęliśmy się na gniazdo nandu: w niewielkim zagłębieniu w ziemi leżało dziesięć dużych, niebieskawo—białych jaj. Były jeszcze ciepłe, a to oznaczało, że wysiadujący je samiec dopiero co opuścił gniazdo — może uciekając przed nami, choć w okresie wylęgu nandu są zazwyczaj agresywne i niebezpieczne. Dowiedziałem się od gauczów, że niekiedy kilka samic składa jaja w jednym gnieździe i może ono zawierać nawet dwadzieścia pięć sztuk. Wysiadującym zajmuje się samiec; gdy mama złoży jaja, tata przejmuje obowiązki, dopóki nie wyklują się pisklęta. Następnie mama bierze małe pod opiekę i troszczy się o ich wychowanie.

Rozdział szesnasty, w którym opisuję kłopoty z ropuchami, węzami i Paragwajczykami

Paragwajski obszar Gran Chaco to rozległa, płaska równina, która rozciąga się od rzeki Paragwaj aż do podnóży Andów. Jest gładka niemal jak stół bilardowy i przez pół roku spieczona na skwarek pod palącymi promieniami słońca, a przez następne pół zalana kilkustopową warstwą wody z zimowych opadów. Osobliwa ta kraina leży między tropikalną puszcza brazylijską a trawiastą pampą argentyńską i stanowi ich swoiste połączenie. Wśród pokrytych bujną trawą pól rosną palmy lub kolczaste krzewy, obwieszane przedziwnymi tropikalnymi kwiatami; oprócz palm można tam napotkać inne drzewa, podobne do europejskich, lecz spowite długimi, szarymi pasmami oplątwy brodaczkowatej, falującymi łagodnie na wietrze.

Założyliśmy bazę wypadową w niewielkim miasteczku nad rzeką Paragwaj. Stamtąd biegła w głąb kraju linia kolejowa; wypaczone szyny dzieliła odległość zaledwie dwóch stóp i po tym chwiejnym, niebezpiecznym torze kursowały pociągi Ford Eight. Zapuszczaliśmy się owym niewygodnym środkiem komunikacji dość daleko w głąb Paragwaju, poszukując okazji. Kolej zbudowano na nasypie, który był zapewne jednym z nielicznych wzniesień na tych terenach — i wszystkie zwierzęta używały go jako gościńca. Jadąc w niewielkim wagonie, widziałem wśród zieleni setki niezwykle ptaków: tukany o dużych, śmiesznych dziobach, skaczące i przemykające po gałęziach drzew; przechadzające się po polach kariamy, podobne do szarych indyków; oraz piękne, czarno—białe muchołówki i kolibry, których wszędzie było pełno.

Czasami, gdy tory skręcały, natykaliśmy się nagle na jakieś zwierzę. Mógł to być pan— cernik albo aguti, które wygląda jak gigantyczna świnka morska o czerwonej sierści, a jeśli mieliśmy szczęście, udawało się nam zobaczyć wilka grzywiastego, potężne zwierzę o długich, smukłych łapach i zmierzwionym rudym futrze.

Wkrótce po przyjeździe zdobyliśmy pierwsze okazy. Gdy krajowcy dowiedzieli się, że kupujemy zwierzęta, zaczęli je dla nas łowić i w pierwszej kolejności udało im się schwytać między innymi

bolitę, zwaną także pancernikiem kulowatym, ponieważ ma zwyczaj zwiijać się w kulę zbliżoną kształtem do pomarańczy. Jest to jedyny pancernik, który potrafi zwiijać się w ten sposób i jedyny, który opuszcza norę w dzień. Gdy, poszukując pożywienia w postaci korzonków i owadów, wyczuje, że coś mu zagraża, zwiija się w ciasny kłębek i zamiera w bezruchu, upodabniając się do kamienia, żeby zmylić wroga. Bardzo łatwo jest schwytać tego pancernika, gdy już się go zauważy. Myśliwi jadą sobie przez zarośla i dostrzegłszy zwierzątko, zsiadają po prostu z koni, podnoszą pancernika z ziemi i wrzucają do worka.

Zazwyczaj przedstawiciele rodziny pancerników dają się bez trudu hodować w niewoli; karmi się je owocami, warzywami i padliną. Okazało się jednak, że z bolitami sprawa wygląda zupełnie inaczej. Od początku nie chciały tknąć niczego, co stanowi ich zwykły pokarm na swobodzie, a owady budziły w nich lęk. Po wielu próbach zacząłem im dawać surowe mięso wymieszane z jajkiem i mlekiem, z dodatkiem witamin. Chowały się na tym znakomicie, lecz niebawem pojawił się następny kłopot. Drewniana podłoga klatki raniła tylne łapy pancerników i wkrótce ich podeszwy były czerwone i poobcierane. Musiałem codziennie wyjmować zwierzątko z klatki i smarować im stopy maścią penicylinową, lecz prawdziwy problem miałem ze znalezieniem odpowiedniego podłoża. Próbowałem wykorzystać glinę, ale pancerniki rozlewały mleko i wdeptywały je w ziemię, która zasychała niczym cement i raniła łapy zwierząt podobnie jak drewno. Po pewnym czasie odkryłem, że idealną wyściółką stanowi gruba warstwa trocin. Pancerniki mogły po niej dreptać do woli, nie robiąc sobie krzywdy.

Tak jak argentyńscy gauczowie, Paragwajczycy jedzą mięso tych stworzeń, lecz w odróżnieniu od pancerników z Argentyny bolita odznacza się twardym, zrogowaciałym pancerzem, który można wykorzystać na wiele sposobów. Czasami zwiija się go w kulę i łączy drutem, otrzymując w ten sposób koszyczek na przybory do szycia; albo obciąża się go skórą, doczepia gryf i struny — i powstaje coś w rodzaju małej gitary. Dlatego mieszkańcy Chaco tak chętnie polują na bolity: są to zwierzęta nie tylko smaczne, ale i pod wieloma względami użyteczne.

Duża część rozległych równin Chaco znajduje się przez cały czas pod wodą i te bagniste obszary są siedzibą niezwykłych gadów i płazów. Do najpospolitszych należy żaba rogata, której boją się wszyscy krajowcy. To dziwacznie wyglądające stworzenie osiąga bardzo duże rozmiary. Pewien schwytyany przez nas okaz dorównywał wielkością całkiem sporemu talerzykowi. Są to pięknie ubarwione płazy: na kremowym tle widnieją szmaragdowe, srebrzyste i czarne wzory. Żaby te mają chyba największe paszcze w całym żabim świecie — na ich widok przypomina się człowiekowi Humpty Dumpty, którego głowa rozpadłaby się na pół, gdyby uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nad oczami sterczą im dwa ostro zakończone wyrostki skórne, przypominające rogi. Jest to prawdopodobnie najbardziej agresywny i drapieżny gatunek płaza nie tylko na obszarze Chaco, ale i na całym świecie. Większość dnia żaba rogata spędza zagrzebana w miękkim mule, z którego wystają tylko jej rogi i oczy. Kiedy ją wypatrzysz i odkopiesz, wpada w straszną złość i nie waha się zaatakować. Skacze w twoją stronę na krótkich, grubych łapach, nadymając się i rozdziawiając paszczę o jaskrawożółtym wnętrzu, a przy tym wydaje głośnie, jazgotliwe szczeknięcia niczym rozdrażniony pekińczyk.

Mieszkańcy Chaco żywią głębokie przekonanie, że żaby rogata są bardzo jadowite, a ich ukąszenie śmiertelne. Jadowite żaby oczywiście nie istnieją, więc gdy schwytałem pierwszą żabę rogatą, postanowiłem przekonać moich towarzyszy, że płazy te są zupełnie nieszkodliwe. Wydobyłem stworzenie z klatki, ono zaś natychmiast zaczęło się wrywać, szczekając przeraźliwie i otwierając szeroko paszczę. Wtedy wsunąłem palec między rozdziawione szczęki, aby udowodnić, że ukąszenie żaby jest niegroźne. W następnej sekundzie gorzko tego pożałowałem, gdyż szczęki zacisnęły się niczym imadło, a drobne, lecz ostre ząbki wbiły się w mój palec, zupełnie jakbym przytrzymał go sobie drzwiami. Upłynęła co najmniej minuta, zanim zdołałem rozewrzeć żabie

szczęki i pośpiesznie cofnąć palec okolony głębokim, purpurowym rowkiem, który zniknął dopiero na drugi dzień. Miałem również czarną plamkę tuż obok na kciuku. Odtąd, chwytając żaby rogate, odnosiłem się do nich z większym szacunkiem.

Innym osobliwym płazem była żaba Budgetta. Przypomina ona z wyglądu żabę rogatą i jest z nią spokrewniona. Ma taką samą, szeroką paszczę i krótkie, grube kończyny, lecz wyrostki nad oczami rysują się jako zaokrąglone wybrzuszenie, a nie jako sterczące rogi. Grzbiet jest czekoladowobrazowy, brzuch zaś białawy z odcieniem żółci. W odróżnieniu od żab rogatych, żaby Budgetta spędzają całe życie w wodzie, unosząc się tuż pod powierzchnią, nad którą wystają tylko oczy. Podobnie jednak jak ich krewniaczki, łatwo wpadają w złość i wydają przenikliwe, szczekliwe odgłosy, nieco dłuższe i wyższe w tonacji. Mają bardzo cienką skórę i gdy się nadymają, pęcznieją niczym balony. Krajowcy twierdzą, iż czasami żaby te puchną tak, że aż pękają — i choć nie zdarzyło mi się zaobserwować tego zjawiska, uważam je za całkiem prawdopodobne.

Tam, gdzie występują w dużej obfitości żaby i ropuchy, muszą oczywiście znaleźć się węże, które się nimi żywią, i Chaco nie stanowi tu wyjątku, zamieszkują je bowiem wspaniałe okazy tych gadów. Należy do nich grzechotnik, efektowna czarno—szara żaraka — przypuszczalnie najjadowitszy wąż Ameryki Południowej — oraz liczne gatunki wodne i nadrzewne, niektóre jaskrawe, inne pospolicie ubarwione.

Jadowite węże dzielą się na dwie grupy. Naprawdę groźne są te, które mają zęby jadowe osadzone na przodzie szczęki. Są przeważnie duże i potrafią wprowadzić znaczną ilość jadu do ciała ofiary. Do drugiej grupy należą nieco mniejsze węże, których zęby jadowe znajdują się w tyle szczęki. Gady te wykorzystują jad raczej do chwytania zdobyczy niż w celach obronnych, dlatego jest słabszy niż u poprzedniej grupy i nawet u tak małego stworzenia jak jaszczurka powoduje tylko lekki paraliż. Należy jednak unikać ukąszeń tych węży, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo zakażenia krwi.

Jednym z najpiękniejszych schwytych przez nas okazów był wąż kapturowy. Wyglądał jak odlany z brązu i miał ciemne plamki na końcu tułowia. Gdy był rozdrażniony, w osobliwy sposób rozszerzał skórę szyi, przez co do złudzenia przypominał kobrę. Wąż ten żywi się żabami i drobnymi gryzoniami, czasem ptakami; ma zęby jadowe osadzone w tyle szczęki i jego jad jest słaby. Aby obezwładnić zdobycz, wystarczy mu niewielka ilość trucizny i choć wygląda bardzo groźnie, jego ukąszenie — acz niezmiernie bolesne — nie jest śmiertelne.

Ale najładniejsze w Gran Chaco były chyba węże koralowe. Są to nieduże i bardzo jadowite gady, lecz ich ubarwienie wyraźnie świadczy o tym, co potrafią. Wąż ten osiąga do dwóch stóp długości, a jego tułów od głowy do ogona zdobią kremowe, czarne i różowe lub jaskrawoczerwone pierścienie.

Największym gadem na tych terenach jest oczywiście anakonda, olbrzymi wąż występujący w środowisku wodnym i spokrewniony z afrykańskim pytonem. Oba chwytają i duszą zdobycz w ten sam sposób. O anakondzie pisano bardzo często i są to przeważnie historie nieprawdziwe.

Najdłuższy znaleziony okaz mierzył dwadzieścia pięć stóp, co nie stanowi rekordu wśród dusicieli, gdyż pyton siatkowy osiąga trzydzieści stóp długości, a nawet więcej. Jak wszystkie wielkie węże, anakonda jest mało agresywna i jeśli zostawi się ją w spokoju, nie rusza do ataku. Przyparta do muru może jednak ukąsić i opasać człowieka kilkoma splotami tułowia, co w przypadku większych okazów bywa bardzo niemiłym przeżyciem.

Na wilgotnych obszarach Chaco żyło dość dużo tych węży i pewnego dnia zjawił się u mnie pewien rolnik, który powiedział, że anakonda napadła na jego kurnik i porwała dwa kurczaki. Ślad w wygniecionej trawie prowadził na moczary za gospodarstwem i rolnik oznajmił, że wie, gdzie gad się zasztył, aby strawić posiłek. Dodał, że mnie tam zaprowadzi, jeśli chcę. Wyruszyliśmy

konno i okrążywszy bagna, dotarliśmy do miejsca, w którym odpoczywał wąż. Choć zbliżyliśmy się ostrożnie, anakonda dostrzegła nas, zanim do niej podeszliśmy, i tylko fale na wodzie wskazywały, którądy popłynęła. Ponieważ konie nie mogły poruszać się zbyt szybko w wodzie o tej głębokości, musiałem odbyć dalszy pościg pieszo. Zeskoczyłem z konia, zgar— i T> nąłem worek, który wzięliśmy z sobą, i pobiegłem co sił w nogach w kierunku obranym przez anakondę. Zastałem ją na skraju bagna, zdążającą ku gęstym zaroślom, w których zamierzała się ukryć, lecz była tak ociężała po uczcie, że pełzła bardzo powoli i złapałem ją w nadbrzeżnej trawie, daleko od krzewów.

Chwywanie tych dużych węży jest bardzo łatwe: łapiasz gada za ogon, podnosisz i próbujesz unieruchomić łeb. Tak właśnie postąpiłem, wyciągając rozłuszczoną anakondę z poszycia i mocnym chwytem uniemożliwiając jej rzucenie się na mnie. Miała około dziewięciu stóp długości, więc mogłem sam dać sobie z nią radę. Aby obezwładnić większy okaz, trzeba byłoby dwóch ludzi. Gdy już trzymałem węża za szyję, położyłem go po prostu na trawie i zczekałem na mojego towarzysza, który pomógł mi wsadzić wijącą się, syczącą i niezmiernie zirytowaną anakondę do worka.

W obozie należy dokładnie obejrzeć każdego schwytanego węża — nawet takiego jak moja anakonda — i to z kilku powodów. Po pierwsze, choćbyś zachował największą ostrożność, zawsze istnieje ryzyko, że złamałeś jedno z bardzo kruchych żeber, a złamane żebro może sprawić wiele kłopotu. Po drugie, musisz uważać na kleszcze. Wąż może być wręcz pokryty kleszczami, których nie potrafi się pozbyć. Przywierają do cienkiej skóry pomiędzy łuskami i niekiedy jest ich tyle, że łuski odpadają, pozostawiając brzydkie, nagie placki. Usunięcie kleszczy jest konieczne, gdyż mogą doprowadzić węża do oplakanego stanu.

Nie można ot tak, po prostu, wyciągnąć kleszcza. Jego narządy gębowe pozostaną wówczas w skórze i wytworzy się ranka, z której powstaje czasami paskudny wrzód. Najlepiej usuwać kleszcze przy użyciu kropli parafiny, a w jej braku — przez muśnięcie pasożytów koniuszkiem zapalonego papierosa, co sprawia, że wysuwają ze skóry ostre klujki i odpadają.

Należy również sprawdzić, czy jakieś wcześniejsze rany nie wymagają opatrzenia. Naskórek, który wąż zrzuca okresowo podczas linienia, pozostawia pod spodem swą idealną, przejrzystą kopię, łącznie z błonkami okrywającymi pozbawione powiek oczy, podobnymi do miniaturowych szkiełek od zegarka.

Zdarza się jednak, że gdy gad przeciska się między kolczastymi krzewami albo kamieniami, żeby łatwiej zsunąć z siebie skórę, rozdziera ją — i choć w końcu się jej pozbywa, bionki na oczach zostają. Prowadzi to do częściowej ślepoty i jeśli trwa zbyt długo, stworzenie może oślepnąć całkowicie. Dlatego powinno się zawsze zbadać oczy schwytanego węża, aby się upewnić, że po ostatniej wylince opadły z nich błonki.

Rozdział siedemnasty, czyli *historia Kai, Puchatka i Sary Tulilebek, jedynego mrówkojada, który został gwiazdą filmową*

Niewiele gatunków małp zamieszkuje Gran Chaco, lecz podczas naszej wyprawy udało nam się zdobyć dość rzadki okaz, należący do jednego z najosobliwszych gatunków na świecie. Była to ponocnica, zwana także mirikiną, jedyna małpa prowadząca nocny tryb życia. Zwierzęta te mają ogromne oczy, podobne do sowich, srebrzystoszare grzbiety i cytrynowożółte brzuchy i pierś. Przesypiają dni w dziuplach drzew lub innych ciemnych miejscach, które opuszczają o zmierzchu, i przez całą noc wędrują po lesie w poszukiwaniu owoców, owadów, rzekotek i ptasich jajek, stanowiących ich pożywienie.

Gdy schwytałyśmy Kai, była bardzo chuda i wyglądała żałośnie, ale po kilku tygodniach prawidłowego odżywiania z dużą ilością mleka i tranu wróciła do zdrowia. Była uroczym stworzeniem, bardzo łagodnym, choć zarazem niezwykle nerwowym, i nie mogłem traktować jej

w taki sam sposób jak innych małp. Zbudowałem dla niej ładną klatkę z kwadratowym pomieszczeniem sypialnym na górze. Kai, ciekawska jak wszystkie małpy, musiała wiedzieć o wszystkim, co się wokół niej dzieje, i w dzień leżała w drzwiach swojej sypialni, drzemiąc z opadającym łebkiem; lecz budziła się natychmiast, szebiocząc z zaciekawieniem, ilekroć w obozie coś się wydarzyło.

Nie smakowało jej prawie nic prócz mleka, jajek na twardo i bananów, a od czasu do czasu zjadała jaszczurkę. Owady budziły w niej lęk, a gdy ofiarowałem jej rzekotkę, wzięła ją do łapki, obwąchała, upuściła z wyraźną odrazą i zamasyście otarła dłoń o ścianę klatki. Z nadejściem wieczoru okazywała wielkie ożywienie i chęć zabawy. Podskakiwała w klatce, jej duże oczy nabierały blasku i przypominała mi małpki galago, które łapałem w zachodniej Afryce. Kai była bardzo zazdrosna i złościło ją, gdy poświęcaliśmy uwagę innym zwierzętom, zwłaszcza szopowi krabojadowi, zwanemu Puchatkiem.

Puchatek był niedużym, dziwnym stworzeniem o wielkich, spłaszczonych łapach i czarnych obwódkach wokół oczu, upodabniających go do pandy wielkiej. Jego mordka miała zawsze bardzo posępny wyraz, jak gdyby wszystko wokół go przygnębiało, lecz musieliśmy bacznie obserwować jego przednie łapy o długich, cienkich palcach. Wysuwał je przez pręty klatki i bez najmniejszego trudu porywał wszystko, co znajdowało się w jego zasięgu; a był przy tym tak wścibski, że starał się pochwycić niemal każdy możliwy przedmiot. Godzinami wylegiwał się na grzbiecie w kącie klatki, skubiąc w zadumie sierść na pękatym brzuszku. Kiedy się oswoił, bawiliśmy się z nim, wsunawszy ręce do klatki. Puchatek uwielbiał te zabawy. Udawał, że gryzie, przewracał się i wymachiwał łapami w powietrzu. Gdy był już zupełnie oswojony, założyliśmy mu obrozę i zaczęliśmy wypuszczać go na zewnątrz, uwiązując na długiej linie oplecionej wokół kija, w białego pośrodku obozowej polany. Nieco dalej tkwił drugi kij, do którego przywiązywaliśmy małpkę Kai. Każdego ranka na widok kosza z jedzeniem Puchatek podnosił głośny wrzask, domagając się przysmaków. Doprowadzeni do rozpaczy dawaliśmy mu coś, żeby się zatkał. Wówczas zazdrosna Kai dąsała się na nas i gdy przyszła kolej na nią, odwracała się tyłem i odmawiała posiłku. Co dziwne, Kai bała się Puchatka, choć zupełnie jej nie przeszkadzały dwa małe jelonki w zagrodzie tuż obok i często kładła się przy ogrodzeniu, jelonki zaś obwąchiwały ją ze zdumieniem. Oprócz tego Kai bała się węży. Kiedy przyniosłem anakondę, o której wspominam w poprzednim rozdziale, i wyjąłem z worka, aby ją obejrzeć, Kai siedząca na dnie klatki zerknęła na gada i, ku naszemu rozbawieniu, natychmiast czmychnęła na górę do sypialni i ukryła się tam, rzucając zza drzwiczek bojaźliwe spojrzenia i ćwierkając ze zgrozą.

Pewnego ranka, gdy czyściliśmy klatki, przyszedł do obozu młody Indianin i zagadnął, czy kupimy od niego zwierzę. Zapytany, co to za zwierzę, wyjaśnił, że mały lisek. Uznaliśmy, że warto przyjrzeć się zwierzątku i powiedzieliśmy Indianinowi, aby je przyniósł jeszcze tego samego dnia. Nie pojawił się jednak i doszliśmy do wniosku, że zapomniał i że żadnego liska nie zobaczymy. Tymczasem nazajutrz, tuż przed obiadem, ze zdziwieniem ujrzeliśmy Indianina ciągnącego za sobą jakieś stworzenie. Był to właśnie obiecany lisi maluch. Z wyglądu bardzo przypominał szczenię owczarka alzackiego i kłapał zębami, wyraźnie przestraszony. Umieściliśmy go w klatce, wsuwając miskę pełną mięsa i mleka, i zostawiliśmy, żeby ochłonał. Potem zaczęliśmy go uważnie obserwować. Ulubioną czynnością liska okazało się sprawdzanie, które z naszych bardziej oswojonych zwierząt, podchodzących do jego klatki, dadzą się złapać. Choć był obzarty po uszy, wciąż wypatrywał jeszcze smaczniejszego kąska. Mieliśmy wówczas oswojone ptaki, które spacerowały sobie po obozie, ale wkrótce musieliśmy je zamknąć, ponieważ często dobiegał nas skrzeczący lament i biegliśmy ratować jakiegoś ptaka, który zanadto zbliżył się do lisiej klatki. Później, gdy lisek również się oswoił, przywiązywaliśmy go na zewnątrz, tak jak Puchatka i Kai, wyznaczając między nimi odpowiednie odległości.

Ku naszemu zdumieniu, zachowywał się zupełnie jak pies i gdy zjawialiśmy się rano, skomlał w podniecieniu, dopóki nie podeszliśmy, żeby z nim pogawędzić — a wówczas płażał wokół naszych nóg, machając energicznie ogonem, zupełnie nie po lisiemu.

Wśród okazów przywiezionych do obozu z jednej z wypraw znalazły się trzy duże zielone papugi, bardzo rozmowne i skore do figli. Początkowo umieściliśmy je w jednej klatce, myśląc, że będzie im dobrze razem. Niemal natychmiast wdały się w bójkę, wszczynając przy tym taki zgiełk, że byliśmy zmuszeni odseparować prowadzycy. Wydawało nam się, że dzięki temu zapanuje spokój. Nie doceniliśmy jednej z pozostałych dwóch papug. Najwyraźniej w wolnych chwilach piłowała zapamiętałe dziobem drut w drzwiczkach klatki i pewnego dnia wyfrunęła z przeraźliwym jazgotem. Zadaliśmy sobie wiele trudu, próbując ją złapać, ale była dla nas za szybka i wzbijała się ponad drzewa, wydając pełne podniecienia wrzaski. Pomyśleliśmy, że przepadła bezpowrotnie. Nazajutrz rano z zaskoczeniem ujrzeliśmy naszą papugę na dachu klatki, rozmawiającą ze swą towarzyszką. Gdy otworzyliśmy drzwiczki, ptak pośpiesznie wskoczył do środka. Najwyraźniej uznał, że dla jedzenia, które od nas dostaje, warto porzucić las.

Tuż przed naszym powrotem do Anglii pewien Indianin przyniósł nam stworzenie, które okazało się ozdobą zwierzyńca. Była to kilkudniowa samiczka mrówkojada wielkiego. Nazwaliśmy ją Sarą Tuliłebek, ponieważ mrówkojady w jej wieku podróżują przyczepione do grzbietu matki i Sara bez przerwy próbowała wlażyć na nas, żeby przytulić łebek. Musiała się czegoś trzymać i gdy postawiło się ją na ziemi, dreptała chwiejnie za człowiekiem, wydając głośne okrzyki protestu. Zaledwie człowiek przystanął, wspinała się po nim i przybierała swą ulubioną pozycję między ludzkimi łopatkami. Ponieważ miała długie, ostre pazury, które potrafiła mocno wbijać, była to operacja nader bolesna.

Musielimy karmić Sarę z butelki. Wypijała cztery butelki mleka dziennie i bardzo szybko nauczyła się ssać pokarm. Pijąc, wysuwała długi, lepki, węzowaty język tak, że zwisał na zewnątrz naczynia. Rosła jak na drożdżach i niebawem zaczęła uważać nas za przybranych rodziców. Po posiłkach urządzała wspaniałe zabawy. Lubiła, gdy przewracało się ją na grzbiet i drapało po brzuchu. Kiedy ją podnosiłem i laskotałem pod pachami, splatała przednie łapy nad głową jak bokser, który właśnie wygrał walkę. Jeśli zaś ciągnęło się ją za ogon lub podszczypywało w żebra, wspinała się na tylne łapy i padała na człowieka, sapiąc głośno z zadowolenia.

Po powrocie do Anglii Sara odjechała jako jedna z pierwszych, wraz z Puchatkiem i Kai, do zoo w Paignton, gdzie zrobiła furorę. Ostatnio widziałem ją przed kilkoma tygodniami. Wygłaszałem w Festival Hall odczyt o odłowieniu zwierząt i wyświetlałem kolorowy film z wyprawy do Argentyny i Paragwaju. Ponieważ Sara grała w tym filmie jedną z głównych ról, napisałem do Paignton, pytając, czy mogłaby przyjechać i wystąpić ze mną na scenie. Dyrekcja uprzejmie wyraziła zgodę i rankiem w dzień odczytu Sara Tuliłebek w towarzystwie opie— kuna przyjechała pociągiem z Devonu. W Festival Hall dostała oddzielną garderobę, którą ogrzano specjalnie dla niej.

Zachowywała się bez zarzutu i pod koniec odczytu moja żona wniosła ją na scenę. Sara spisała się doskonale, pokazując wszystkie swoje sztuczki, a na zakończenie oparła się o stół i podrapała dziarsko. Po występie przyjęła w garderobie licznych wielbicieli i sukces chyba uderzył jej do głowy, gdyż — jak się dowiedziałem — po powrocie do zoo opiekun przez kilka dni nie mógł dać sobie z nią rady. Nie puszczała go od siebie i krzyczała żałośnie, ilekroć została sama w klatce. Myślę, że Sara jest jedynym na świecie mrówkojadem, który został gwiazdą filmową — i choć może nie dorównuje innym gwiazdom urodą, posiada bez wątpienia nieprzeciętną osobowość. A zatem nasza wyprawa do Paragwaju i Argentyny dobiegła końca — lecz łowca zwierząt natychmiast zaczyna myśleć o następnej i pisząc te słowa, planuję już kolejną ekspedycję. Tym razem chciałbym odwiedzić Daleki Wschód. Wybór zawsze bywa trudny, gdyż na świecie jest tak

wiele wspaniałych miejsc do obejrzenia i tyle niezwykłych zwierząt do schwytania, że człowiek zazwyczaj waha się przez kilka tygodni, zanim wybierze jeden punkt na mapie. Jedno wiadomo na pewno: dokądkolwiek łowca się uda, wszędzie napotka ogromne rzesze fascynujących stworzeń, które czasami niełatwo schwytać i równie trudno hodować. Mogą przyczynić mu wielu trosk i kłopotów, zawsze jednak będą ciekawe i zabawne; a przed powrotem do kraju staną się dla łowcy czymś więcej niż zbiorem rzadkich okazów — jego dużą rodziną.

Spis treści

Wprowadzenie 7

Część pierwsza

Korowody w Kamerunie 9

Rozdział pierwszy, w którym bawię się w przeciąganie liny z waranem nilowym 11

Rozdział drugi, w którym mam do czynienia z małymi krokodylami, jeżatką afrykańską oraz różnymi wężami 21

Rozdział trzeci, w którym Pufcio i Dmuszka wkraczają do akcji 28

Rozdział czwarty, w którym gryzą mnie Rozbójnicy 35

Rozdział piąty, w którym mam do czynienia z pewną liczbą małp 40

Rozdział szósty, czyli historia szympansa Cholmondeleya 45

Rozdział siódmy, czyli opowieść o włochatych żabach, żółwiach lądowych i innych zwierzętach 50

Rozdział ósmy, w którym nowy Noe odbija od brzegu w swej arce 58

Część druga

Pościgi i łowy w Gujanie

Rozdział dziewiąty, w którym mrówkojad Amos zaprasza nas do tańca 67

Rozdział dziesiąty, w którym opisuję ropuchy z kieszeniami i inne dziwolągi .. 81

Rozdział jedenasty, w którym czubacz Cuthbert sprawia kłopoty 86

Rozdział dwunasty, w którym spotykam wiele nowych zwierząt, między innymi księżycowego skoczka 91

Rozdział trzynasty, w którym łapię rybę o dwóch parach oczu 98

Rozdział czternasty, w którym opisuję kajmana krokodylowego i wstrząsające węgorze elektryczne 102

Część trzecia

Przejażdżki po Paragwaju 107

Rozdział piętnasty, w którym poluję z gauczami 109

Rozdział szesnasty, w którym opisuję kłopoty z ropuchami, wężami i Paragwajczykami ? 118

Rozdział siedemnasty, czyli historia Kai, Puchatka i Sary Tulilebek, jedynego mrówkojada, który został gwiazdą filmową 125